№ 20. Warszawa, dnia 14 (2) Maja 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

A POSTERIORI.

Przy wszelkich obrachunkach naszych z prasą rosyjską nie powinniśmy nigdy zaniedbywać wypłacenia długu wdzięczności tym jej organom, które część swej szerszej swobody publicznego słowa zużytkowują na obronę spraw naszych. A przyznać musimy, że oprócz pism p. Katkowa, który przed dwudziestu laty głosił, że „w oczach cokolwiek rozumnego człowieka nie wstydem, ale zaszczytem jest należyć do narodowości polskiej," a dziś tę swoją formułę polityczną, jak wszystkie wreszcie, naopak wywrócił; oprócz kilku dalej pokrewnych mu i półobłąkanych dzienników, — większość prasy rosyjskiej okazuje względem nas należytą z jej stanowiska sprawiedliwość. Ważniejsze objawy tej sprawiedliwości zapisujemy; dziś właśnie mamy do zaznaczenia głos jednego z najczujniejszych pism petersburskich, *Nowosti*, w sprawie, która należy do bardzo poważnych a ostatnimi czasy kilkakrotnie zwróciła na siebie uwagę opinii i rządu. Mówimy o zabronieniu polakom kupowania majątków w tak zwanych prowincyach zachodnich Cesarstwa. Otóż *Nowosti* zastanawiają się nad skutkami tego interdyktu ze strony ekonomicznej, która, ich zdaniem, przedstawiła dowody bardzo wymowne. Prawo to — powiadają one — mające na celu ułatwienie kupna majątków ziemskich we wzmiankowanych guberniach rosyanom, bardzo słabo przyczyniło się do spełnienia tego zadania, gdyż nadzwyczaj mała liczba rosyjskich rolników-kapitalistów przeniosła tam swoją działalność. Jedni, nie znając warunków miejscowych, bali się ryzykować kapitałów; drudzy znowu, jak np. wielu ze służących tamże urzędników, pozyskawszy ulgi w nabywaniu majątków, po większej części nie posiadali ani potrzebnych dla rolnika wiadomości, ani też środków dla prowadzenia gospodarstwa; trzeci wreszcie, uwodząc się złudną łatwością nabycia wielkich majątków za nieznaczne kapitały, kupując dobra, nieodpowiadające ich środkom materyalnym i wymagające wielkich wkładów na zakup inwentarza roboczego, narzędzi rolniczych i t. d., — odrazu znaleźli się w konieczności niszczenia majątków przez wyrąb lasu i sprzedaż pojedyńczych źródeł dochodu. Łatwo pojąć, że dobra wielu tych nabywców dawno już zostały posprzedawane przez licytacye lub poprzechodziły na własność ludzi bardziej przedsiębiorczych. Wiadomości o niepowodzeniach tych pionierów jeszcze bardziej przestraszyły niedowierzających rosyan-kapitalistów i w ich miejsce pojawili się poszukiwacze łatwego zysku. Tych spekulantów można spotkać całymi tłumami na wszystkich licytacyach. Jak tylko dowiedzą się o sprzedaży jakich dóbr, natychmiast dają na nie zadatek, następnie zastawiają dobra w banku, wycinają las, sprzedają częściowo małe kawałki gruntu i zrujnowawszy w ten sposób jeden majątek, spieszą odbyć tę samą operacyę na drugim, trzecim i t. d. Właściciel zaś sprzedając majątek, zwykle otrzymuje jedynie zadatek, resztę zaś szacunku odbiera powoli ratami w miarę sprzedaży lasu i t. p., przyczem do chwili ostatecznego uregulowania należności ma prawo, według osobnej umowy, kontrolować rozdrabnianie swojego majątku. Pomimo tak niedogodnych warunków właściciele polacy, zmuszeni okolicznościami lub, w razie spadku, działem familijnym do sprzedaży majątku (według bowiem obowiązującego tam prawa, po śmierci ojca, jeden syn nie może dziedziczyć całego mienia z warunkiem spłaty rodzeństwu ich działów, ale musi ono być podzielone wedle liczby dzieci, które otrzymują nieraz tak małe części, że spadkobiercy zmuszeni są sprzedawać cały majątek. nie mogąc korzystnie prowadzić gospodarstwa) nieuchronnie stają się pastwą lichwiarzy. Polak dóbr kupić nie może, kapitalistów rosyjskich niema, pozostają przeto albo szukający łatwego zysku, albo niemcy nadbałtyccy, nieodznaczający się zbytnią wspaniałomyślnością, albo wreszcie nasi dobrzy przyjaciele z nad Sprei. Zresztą i ostatnie dwie kategorye nabywców wolą kupować dobra na licytacyach przy sprzedaży ich za długi banków, wskutek czego największa liczba tranzakcyj dokonywa się z ludźmi pierwszej kategoryi, którzy wszelkimi sposobami obdzierają rolników. W gubernii kowieńskiej np. pewien zniemczony łotysz, zacząwszy z pięcioma tysiącami rubli, przy pomocy banku, wyrębu lasu i t. d., nabywając dobra za dobrami, w przeciągu 7 — 8 lat dorobił się olbrzymiego majątku. Przez ręce jego przeszło już trzydzieści dóbr, a niedawno nabył jeszcze jedne wielkie za 300,000 rs. Przykład ten, charakteryzujący działanie jednego takiego aferzysty w jednej tylko gubernii, może dać pojęcie o rozmiarach szkód, wyrządzanych w tymże kierunku krajowi przez jego współobywateli. Zresztą pogoń za łatwym zyskiem przynęca nawet miejsowych mieszkańców, występujących w tego rodzaju interesach pod firmą rosyan lub niemców. Ostatecznie prawo, zabraniające osobom urodzonym w guberniach północno- i południowo-zachodnich nabywać w nich dobra ziemskie, ułatwiło osiedlenie się w tych prowincyach bynajmniej nie żywiołowi rosyjskiemu, lecz wszelkiego rodzaju aferzystom, rujnującym miejscowe rolnictwo i wytrzebiającym do reszty bogate lasy. Ale

przez nienormalność tego położenia, brak kapitałów rosyjskich i niski kurs rubla, wzmógł się żywioł niemiecki. Nietylko bowiem niemcy nadbałtyccy, w skutek wielkiej bardzo taniości ziemi, wywołanej ograniczeniem przez prawo konkurencyi, spieszą jako nabywcy majątków, ale i niemcy zagraniczni, korzystając z niskiego kursu rubla, coraz więcej ziemi kupują w tych prowincyach. W gazetach niemieckich ciągle ukazują się ogromne ogłoszenia, zachęcające do nabywania ziemi w guberniach zachodnich, wskazujące mianowicie na brak współzawodnika i niski kurs rubla. Są już obecnie okolice, gdzie cała połowa powiatu jest w ręku niemców. Jeżeli oni teraz już bez żadnej ceremonii uważają gubernie nadbałtyckie za część swojego *Vaterlandu*, to cóż stanie się z guberniami północno i południowo-zachodniemi, gdy nowy napływ niemców da im w tych guberniach przewagę nad innemi narodowościami?."

Nie będziemy rozwiązywali tego pytania, na które odpowiedź pozostawiamy moskiewskim słowianofilom. Niech oni pogodzą to wydziedziczenie żywiołu słowiańskiego na korzyść niemców ze słowiańską misyą. Zresztą pomijamy tę sprawę zbyt idealnej natury i zwrócimy uwagę na interesa materyalne. Mianowicie ze smutnych rezultatów ciążącego na żywiole polskim w prowincyach zachodnich interdyktu wywiązuje się nader poważna kwestya: czy przy dzisiejszym stanie ekonomicznym państwo może i powinno dobrowolnie się zubożać, otwierać swobodne pole gospodarstwu pierwiastków moralnie zepsutych a materyalnie niszczących? Czy nie należy podnieść czynników zdrowych i produkcyjnych, jakimi bezwątpienia są polacy w guberniach południowo-zachodnich? Jeśli nas znaki nie mylą, jednym z głównych przedmiotów obecnego namysłu sterników nawy państwowej jest wytworzenie najprzyjaźniejszych warunków dla rozwoju ekonomicznego, który w wielu kierunkach zatamował się bardzo niebespiecznie i szkodliwie; do tego zaś celu nie prowadzi inna droga, tylko wyzwolenie z ograniczeń i równouprawnienie wszystkich elementów państwa. Nie będziemy tu spierali się, czy prawa wyjątkowe, jako środki przechodnie, przynoszą pewne korzyści; to tylko pewna, że one jako trwała zasada prędzej lub później wyrządzają wielkie szkody. Pomijając ten wzgląd, że wszelkie powody do takich praw w wyżej dotkniętym zakazie dawno już znikły, interes Rosyi, zajętej tłumieniem żywiołów rewolucyjnych, wymaga zapewnienia spokojnym jaknajstaranniejszej opieki. Odczuły to zapewne sfery wyższe, skoro, jak wiadomo, nawet w nich odzywała się kilkakrotnie myśl przywrócenia polakom w prowincyach południowo-zachodnich praw zawieszonych. Konieczność takiego kroku jest już dowiedzioną — *a posteriori*.

UKŁADY Z RZYMEM.

Kolumny prasy dziennej wyciera od pewnego czasu wieść o nowopodjętych układach rządu rosyjskiego z Rzymem. Wieść ta musi być wiernem echem, skoro ją potwierdził pośrednio półurzędowy *Journal de St. Petersbourg*." Według niego i innych pism, które zajęły się wyjaśnieniem tej nader zagadkowej sprawy, rysuje się ona w głównym konturze tak: pp. Masołow i Butieniew, delegaci rosyjscy, przedstawili papieżowi *jakieś* propozycye, będące podstawą toczących się narad; jednocześnie zakryte przejrzystą bezimiennością kółko polaków galicyjskich zamierza przesłać Stolicy Apostolskiej memoryał w imieniu rodaków-katolików, ostrzegający ją przed niebezpieczeństwem wszelkiego porozumienia. Wiadomość o tym memoryale podał z dzienników włoskich *Journ. de St. Petersbourg* oraz pisma galicyjskie, między któremi krakowski *Czas* wystąpił z energiczną naganą. „Przedewszystkiem — powiada on (według *Gołosu*) — musimy zwrócić uwagę na niewłaściwość takiego działania. Każdy, kto zna dyplomatyczne zwyczaje, wie o tem, że wszelkie memoryały, mające nadzieję powodzenia, nie powinny być ogłaszane i rozgłaszane; wymaga tego taktyka dyplomatyczna i sam szacunek dla państwa lub rządu kraju, dla których memoryał jest przeznaczony. Zarówno przeszłe jak obecne położenie kościoła katolickiego w Rosyi znanem jest dobrze Stolicy Apostolskiej i nigdy nie dawał się czuć brak kompetentnych obrońców naszych spraw. Za dowód posłużyć może cały szereg(!) aktów, wydanych przez Stolicę Apostolską; świadczyć o tem także mogą układy z dyplomatami rosyjskimi, które ciągną się już dwa lata i prowadzą się z taką trudnością, ponieważ Stolica Apostolska dobrze zna położenie sprawy, a zatem wie, co może przynieść pożytek a na co zgodzić się się nie można. „Powinniśmy ostrzedz katolików— kończy *Czas*, że, jeżeli nie chcą zaszkodzić sprawie; jeżeli nie chcą wogóle sparaliżować układów, mogących przynieść *rzeczywiste ulgi*, i działać na szkodę sprawy; jeżeli nie chcą obudzić szczerości na szkodę naszych *uczuć i żądań* — niech nie podpisują tego memorandum."

Z tej prawomyślnej łupiny wyłuskać można dwa jedynie ziarna: 1) że rząd rosyjski prowadzi *jakieś* układy z Rzymem i 2) że Stolica Apostolska broni naszej sprawy i pragnie wywalczyć kościołowi „rzeczywiste ulgi," odpowiednie naszym „uczuciom i żądaniom." Ponieważ ani dzienniki rosyjskie, ani organ krakowski nie mówią nam wcale o przedmiocie tych układów, więc chcąc odgadnąć, trzeba go wyliczyć rachunkiem prawdopodobieństwa z naszych

---

STARA POMPADUROWA [3)]

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

— Przynieś mi, Szymonie, tej rybki — wiesz? Rozkazał komisarz w przedpokoju. A pani, Nadziejo Piotrówno, zawsze we łzach jeszcze! Mateczko! Gołąbeczko! Ale cóż to znaczy? — dodał, wchodząc do pokoju. No, popłakałaś pani, no i basta! Czemu psuć te oczki, te oczki?

— A tak, nie mogę przekonać! — wtrącił Blamanget.

— Dopóty, dopóki... — rzekła Nadzieja Piotrówna i urwała.

— No tak, racya! Ale należałoby, paniusiu, i o nas grzesznych także pomyśleć!

— Cóż mogę uczynić! Teraz rola moja...

— Nadzieja Piotrówna opuściła głowę.

— A ja cóś powiem paniusi! — uparcie ciągnął dalej komisarz — zamiast gnębić się przed tym bałwanem, przebacz mi Boże, wzięłaby pani cugle... Ot co, paniusiu!

— Lecz Nadzieja Piotrówna, jak dawniej, stale patrzyła na starego pompadura.

Ja bo, paniusiu, dziś jeszcze miałem szczęście donieść...

Komisarz westchnął.

— I cóż? — wtrącił Blamanget.

— A no, — powiada, że jeżeli pani chce się sprzeciwiać, to trudno!... To niepięknie Nadziejo Piotrówna! Przed Bogiem odpowiesz pani za to! Tak!

Ale ona wciąż milczała i zdało się, że w oczach patrzącego na nią pompadura, czerpała coraz więcej moralnej stałości.

„Nadokazywał i pojechał!" — myślała.

— W tem rzecz właśnie — ciągnął komisarz, jak gdyby przeczuwając jej myśli: — on wyjechał, brońmyż się, jak umiemy!...

— Ja ciągle jej to powtarzam! — tłómaczył się Blamanget: — i nie ja jeden, lecz całe towarzystwo!

Ale Nadzieja Piotrówna nie chciała słuchać. Zerwała się z krzesła i jak raniona tygrysica przyskoczyła do komisarza.

— Zapomniałeś pan, *kto* mnie kochał? — zawołała. Ale ja... ja pamiętam! Ja wszystko pamiętam!

I z temi słowy dumnie wyszła z pokoju.

Próby jednak nie ograniczyły się na tem. Coraz częściej zaczęły odwiedzać Nadzieję Piotrównę panie miejscowe, a każda bezwarunkowo zaczynała rozmowę o nowym pompadurze. Niektóre mówiły nawet, że zaczyna już nadskakiwać.

— Jaka szkoda, że niema przy sobie... *vous savez?* — dodała przytem jakaś złośliwa damka.

— Nie, nie wiem! — odparła Nadzieja Piotrówna z zadziwiającą obojętnością.

— No, tego... Jakby się lepiej wyrazić... przewodniczącego...

— A!

Nastała epoka obiadów i balów. Nadzieja Piotrówna trzymała się ostro i nie spuszczała oka z portretu starego pompadura. W mieście zaczęto opowiadać sobie w sekrecie, że nałożyła na siebie kajdany.

— *Mais enfin, celà commence à devenir ridicule, ma chère!* — mówiły jej przyjaciółki, zapraszając do przyjęcia udziału w ogólnych uroczystościach.

— Nie wiecie, *mesdames*, *kto* mnie kochał! — odpierała zazwyczaj: — ale ja... ja wiem! O! Ja wiem bardzo wiele!

— To wszystko dobrze!... *C' est sublime, il n'ya a rien à dire!* Ale przecie — wszystko ma swój koniec!

— Ja tak znią mam codziennie! — wtrącał przytem radca dworu Blamanget, który ostatnimi czasy stopił się, jak świeca.

W istocie jednak, serce jej powoli zaczynało się poddawać. Zaczęła już analizować fizyognomię starego pompadura, i znajdowała, że jego nos!...

— Ach, *ma chère*, spójrz pani tylko jaki on ma dziwnie śmieszny nos!... — mówiła do Olgi Siemionówny.

— Dziwię się, żeś pani tego dawniej nie spostrzegła, — odparła pani Prochodimcewa, która ze swojej strony także używała wszelkich środków, ażeby zmusić Nadzieję Piotrównę do zapomnienia o przeszłości.

— I usta ma niezbyt mądre!

I oto, razu pewnego, odważyła się nawet, wyjrzeć przez okno... O, zgrozo! Spostrzegła nowego pompadura, który szedł przez ulicę, mrucząc pod nosem:

L' amour — qu'est que c'est que ça, mamselle?
L' amour — qu'est que c'est que ça?

„uczuć i żądań.“ Naturalnie dla dopełnienia takiego rachunku musimy przenieść się myślą na stanowisko religijne: otóż zachodzi pytanie, czego, jakich „ulg“ w obecnych warunkach pragnąć mogą katolicy polscy w państwie rosyjskiem? Kościoły dawne posiadają a nowe wznosić mogą; każda parafia posiada księdza; religia jest wykładana we wszystkich szkołach; kazania nie podlegają żadnej kontroli; obrządki religijne dopełniają się z zupełną swobodą; księża nie potrzebują składać żadnych egzaminów państwowych i służyć w wojsku, a zależą wyłącznie od władz duchownych; swoboda stowarzyszeń pobożnych nie ulega żadnym prawie ograniczeniom — słowem niemiecki *Kulturkampf*, lub francuska walka kościoła z państwem u nas nie istnieje. Jeżeli zaś nie istnieje, to ani katolicy z tej strony nie mają żadnych „żądań,“ ani rząd powodu zadawalniania ich z pomocą Rzymu. W obecnem położeniu kościoła polskiego tkwią tylko dwie istotne różnice od jego warunków poprzednich, dwa punkta, mogące dostarczyć materyału do układów z Watykanem: 1) los usuniętych dawniej z kraju księży i 2) przerwanie bezpośrednich stosunków z papieżem. Obie jednak te sprawy nie są chyba przedmiotem wzmiankowanych wyżej targów. Bo naprzód, gdyby rząd chciał powrócić z wygnania duchownych, mógłby to uczynić samodzielnie, bez porozumienia się ze Stolicą Apostolską; powtóre owo przerwanie stosunków bezpośrednich nie jest wcale dla *ludności* katolickiej kwestyą wielkiej wagi i nie wytwarza żadnej bolesnej w jej uczuciach rany. I w tych zatem odmianach stanu poprzedniego nie możemy doszukać się klucza, otwierającego nam zagadkę rozpoczętych w Rzymie przez rząd rosyjski układów. Pojmujemy tego rodzaju wieści w Niemczech. Tam państwo zapomocą ustaw majowych zupełnie owładnęło kościołem, mnóstwo parafij osieroconych, księża poddani są pod zwierzchnictwo cywilne, nadewszystko zaś broniąca ich interesów partya stanowi potężną w sejmie opozycyę, która ciągle rzuca rządowi kije pod nogi i przyczynia się do jego upadków; tam więc porozumienie się z Watykanem jest sprawą pierwszorzędnej wagi dla stron obu. Ponieważ zaś u nas ani materyału do opozycyi, ani samej opozycyi niema, więc niepodobna zrozumieć sfinksa, który od kilku tygodni zadaje prasie do rozwiązania dziwną zagadkę. Mimo wszystkich min, jakie robią organa „dobrze poinformowane,“ jesteśmy najmocniej przekonani, że zadanie delegatów rosyjskich nie jest owym organom znane. Dowodem są przeróżne *balons d'essai*, puszczane dla wyprobowania tego lub innego domysłu, dowodem ciągłe auskultowanie pism urzędowych dla wysłuchania z nich prawdy. Nawet dzienniki rosyjskie, mające największą sposobność podpatrzenia tajemnicy, strzelają na oślep. Tak np. *Moskowsk. Wiedomosti* doniosły przed kilku dniami, że przedmiotem układów z Watykanem jest zamianowanie nuncyusza papieskiego w Petersburgu. Ale i ta kaczka niedługo pływała po wodach dziennikarskich, bo zaraz ją *Journal de St. Petersbourg* zastrzelił wyraźnem zaprzeczeniem.

Jeżeli nie należy ze sprawą tą rozstać się bez hypotezy, to odważymy się na takie tylko przypuszczenie: delegaci rosyjscy pragną uzyskać od papieża zgodę na wzmocnienie władzy państwa wobec kościoła katolickiego, a publicyści galicyjscy spodziewają się wzmocnienia władzy kościoła wobec państwa. Taki domysł tłomaczyłby nam z jednej strony pobudki rządu rosyjskiego, a z drugiej—nadzieję „rzeczywistych ulg,“ wyrażoną w *Czasie* krakowskim i owo *pst!*, jakiem uciszyć pragnie głos memoryału. Jeżeli pełnomocnicy rosyjscy zobowiążą się do powrócenia wygnanych księży i dozwolenia duchowieństwu na bezpośrednie stosunki z Rzymem (a jak widzieliśmy takie tylko „ulgi“ byłyby „rzeczywiste“), to ponieważ rząd mógłby to uczynić samodzielnie, nie po to, więc chyba wysłał swych przedstawicieli do papieża, ażeby od niego uzyskać aprobatę na zrobienie mu ustępstwa, lecz po to ażeby owo ustępstwo wymienić na inne ustępstwo. Jakie jest ofiarowane — odgadnąć możemy, ale jakie jest żądane — nie wiemy, a w tem właśnie tkwi główny punkt ciężkości całej sprawy.

OCZYSZCZENIE JĘZYKA.

I znowu z kilku pism ozwały się narzekania na zepsucie i zanieczyszczenie mowy naszej, na zamęt w pisowni: „stary pedagog“ zabrał głos w *Tygodniku Ilustrowanym* (i osobnej odbitce), p. L. Szczerbowicz-Wieczor w książeczce (*O skażeniu języka polskiego w prasie*, Płock), wreszcie p. *rb.* dumający nad nią w *Bibl. Warszawskiej.* Głosy te nie w jednym biegną kierunku: pierwszy domaga się ustalenia ortografii, dwa pozostałe wymiatają z języka obce naleciałości, które prasa pełną garścią do niego sypie. Zastanówmy się naprzód nad oczyszczającymi augiaszową stajnię naszego dziennikarstwa. „Prasa ma *przeważnie* — mówi sprawozdawca *Bibl. Warszawskiej* — *pedagogiczne* zadanie względem swoich czytelników. Jak pod względem życia praktycznego wskazuje społeczeństwu drogi do jego uszczęśliwienia, tak ze stanowiska naukowego i narodowego *stać powinna na straży* czystości i poprawności ojczystej mowy.“ Miło nam bardzo z ust p. *rb* usłyszeć te wzniosłe wyrazy; nacieszywszy się jednak ich brzmieniem, musimy przepuścić je przez kilka pytań. A naprzód, czy dziś można mówić o „prasie,“ jako o gałęzi piśmiennictwa, spojonej wspólnem „zada-

---

Był tak piękny, że się zapatrzyła pomimowoli. Brunet, niedużego wzrostu, zbudowany jednak nadzwyczaj proporcyonalnie, zdawało się, że był stworzony do rozkazywania i czarowania. Na lewym policzku miał malutką brodawkę (ona wszystko spostrzegała!) a nad ustami gładki ciemny wąsik, który od czasu do czasu przygryzał. Jego piękność była wcale innego gatunku, niż piękność starego pompadura. Tamten miał i nos i usta takie miękkie, takie śmieszne, że aż korciło zgnieść je, zmiąć, a potem nawet pocałować. Nie za piękność jednak pocałować, ale za śmieszność. U tego przeciwnie, wszystko było silne, wszystko świadczyło o stałości, uporze i energii.

Ale oto przybliża się coraz bardziej, coraz bardziej, już się zrównał z domem Nadziei Piotrówny; jego chód chwieje się, chwieje... już się zatrzymał... bierze za rączkę od dzwonka... Nadzieja Piotrówna, niespokojna, drżąca, pobiegła pod obronę starego pompadura. Blamanget raz jeszcze dowiódł swej pojętności, opuściwszy dom co żywo.

— Pani mi wybaczy, miła Nadziejo Piotrówna, — mówił za chwilę pompadur swym ponętnym głosikiem: — do takiego stopnia szanowałem smutek pani, że nie ważyłem się myśleć nawet o niepokojeniu jej swemi odwiedzinami. Ale proszę mi darować, że moja niecierpliwość... owe pochlebne zdania... gdybym mógł tylko słuchać głosu mego serca...

Ale Nadziei Piotrówny szumiało w uszach. Oparła wzrok swój na portrecie i zdawało jej się, że stary pompadur rzucał na nią stamtąd oczyma.

— Wierzaj mi pani, — dźwięczał dalej ten sam miodowy głosiczek: — że jednak bynajmniej nie byłem biernym widzem jej nieszczęścia. Pan komisarz zechce bezwątpienia upewnić panią, że kazałem niejednokrotnie, a nawet upierałem się, aby uczyniono dla pani wszystko, co można... dość, że robiłem to, co zależało od mojej władzy...

Nadzieja Piotrówna siedziała wciąż nieruchoma, jak gdyby ją zmora męczyła.

— Jednakże, jest to dla mnie bardzo dotkliwem, — brzęczał pompadur: — więcej powiem... jest to dla mnie nawet bolesnem, że pani... jakby przezemnie... pozbawia towarzystwo, że tak powiem, jego najpiękniejszej ozdoby! Naturalnie, ja... moje zalety... Nie mogę się pochwalić doświadczeniem...

— Nie! Pana chwalą! — szepnęła Nadzieja Piotrówna, nie rozumiejąc prawie co mówi.

— Towarzystwo jest dla mnie zbyt łaskawe! Naturalnie, wszystko, co odemnie zależy... gotów jestem życie poświęcić... ale w każdym razie, miła Nadziejo Piotrówna, pozwól mi pani odejść z przyjemną myślą... albo raczej nadzieją... że pani nie zechcesz mnie zasmucać, pozbawiając towarzystwo, że tak powiem, jego najpiękniejszej ozdoby.

— Ja... jeżeli pan rozkaże!... — odparła z poprzednią nieprzytomnością.

— Nie rozkazuję — lecz proszę!

Wziął jej rękę i pocałował.

— To, zdaje się, portret mojego poprzednika? — zapytał.

— Tak, to on.

— Jaki on był szczęśliwy, że się tak doń przywiązywano! I jak wiele utracił, opuszczając te strony!

Oczy pompadura zaczynały się rozrzewniać; mowa zaczęła przybierać odcień tendencyjny; ale Nadzieja Piotrówna ciągle jeszcze pozostawała w stanie zdrętwienia.

— Tak, on był szczęśliwy, — szepnęła, dziwiąc się sama, dlaczego jej język wypowiada jedynie głupstwa.

— Daruj pani, nie śmiem jej dłużej trudzić moją obecnością, ale poważam się sądzić, że wynoszę ze sobą przyjemną nadzieję, iż odtąd wszystkie nieporozumienia między nami skończone, a pani... pani nie pozbawisz towarzystwa jego... jego, że tak powiem, najpiękniejszej ozdoby! — wyrzekł wkońcu, powstając z kanapy i znowu całując rączkę gospodyni.

Po jego wyjściu, Nadzieja Piotrówna, przez pewien czas stała w zdrętwieniu. Zdawało się, że wysłuchała jakiegoś niezręcznie zredagowanego kancelaryjnego papieru, którego treść jeszcze nie była dla niej zupełnie jasną, ale na który potrzeba bezwarunkowo odpowiedzieć. Ocknąwszy się nareszcie, pierwszym ruchem, jaki uczyniła, było porwanie portretu starego pompadura.

— Pompadurku, mój ty głuptasku! Dokąd pojechałeś! Co uczyniłeś ze mną! — zawołała, jakby przeczuwając, że w losach starego pompadura powinien nastąpić stanowczy przewrót. (D. c. n.)

niem?" Czy ono w kuryerze, chwytającym nowiny brukowe, jest temże samem, co w naukowem wydawnictwie miesięcznem lub tygodniowem? Jeżeli zaś imieniem „prasy" obejmiemy głównie dzienniki, to trudno się zgodzić, ażeby ich zadanie było „przeważnie pedagogicznem." Są to raczej zbiorniki doniesień i objaśnień, zadawalniające codzienne potrzeby i ciekawość czytelników bez względu na cele wychowawcze. Wiadomości polityczne, opisy wojen, zbrodni, pożarów i innych wypadków — to nie są chyba środki edukacyjne. Nie idzie w nich o formę, ale o treść i... pośpiech. Ta ostatnia okoliczność usuwa się ciągle z pod uwagi naszym językowym korrektorom. Zapominają o tem, że sami woleliby *dziś* otrzymać jakąś ważną wiadomość w złej polszczyźnie, niż *jutro* — w dobrej. A tenże sam gust posiadają wszyscy czytelnicy, których pośpiech gazety przenoszą nad jej „pedagogiczne zadanie," nad „poprawność mowy." Jeżeli zaś tak jest, jeżeli nadto zwrócimy uwagę, że pisma codzienne posługują się w znacznej części siłami mniej wytrawnemi, że nadpływający ze wszystkich stron świata materyał przynosi z sobą techniczne formy, od których łatwo uwolnić się nie da, to przyznać musimy, że „stanie na straży czystości języka" jest dla tych pism niemożliwem. Nigdzie też one nie spełniają takiej roli i wszędzie prasa dzienna odznacza się zaniedbaniem szaty zewnętrznej, albo raczej nosi kosmopolityczną, z najrozmaitszych pierwiastków utkaną.

Daleko bardziej — że tak powiemy — narodowe, daleko mniej od obcych wpływów i pośpiechu zależne są tygodniki, miesięczniki i wogóle pisma naukowe, literackie lub społeczne. Składają się na nie siły dojrzalsze i większe, dłuższy czas pozwala opracowywać pojedyńcze artykuły — to też zarówno u nas, jak i za granicą, przemawiają one językiem czystszym i wytworniejszym. Naturalnie wydawnictwa, nieprzywiązane do stałych i szybko po sobie następujących terminów, a przecie będące płodami umysłów znaczniejszej miary, mianowicie książki winny posiadać i posiadają najbardziej udoskonaloną formę; odpowiedzialność ich zatem musi być najwyższą. Tymczasem nasi reformatorowie językowi głównie procesują się z prasą i to z prasą codzienną, która zaledwie posiada kilka godzin czasu na zadowolenie ich wygórowanych żądań. Łowienie błędów i uchybień w tym potoku jest zajęciem nader łatwem i dla tego gorliwie uprawianem. Dość pójść do cukierni, spożyć chciwie cały zapas świeżych wiadomostek i wypisać dostrzeżone w nich skażenia. Owocem takich właśnie badań jest książka p. Szczerbowicza-Wieczora.

Podobne złe cenzurki, wydawane prasie naszej, byłyby zresztą pouczające, gdyby egzaminatorzy nie objawiali — jak rzekliśmy — żądań zbyt wygórowanych. W książce p. Szczerbowicza i w uwagach nad nią *Bibl. Warszawskiej* znajdujemy pod imieniem rusycyzmów, germanizmów i t. p. takie np. wyrazy, uznane za obce w naszej mowie: poryw, przejaw, kłonić się, wpadłem w wodę, słoje (warstwy), zbyt (odbyt), lubować się, kipiątek, pustynny, zapiski, ciepłota i t. d. Wszystkie te badyle należałoby, zdaniem naszych ogrodników, wypleć z polskiej niwy językowej. Na radę taką można tylko wzruszyć ramionami. Wyrazy te bowiem nietylko zaszczepione są na pierwiastkach polskich, odpowiadają duchowi naszej mowy i zawartym w nich pojęciom, ale wchodzą w skład ogólnie przyjętego słownictwa. Jeżeli jest słowo polskie *porywać*, dla czego niepolskiem ma być *poryw*, lecz koniecznie *popęd*? Dla czego *zapiski* mają być gorsze od *notatek*? Dla czego *kipiątek* ma być obcym, kiedy wyrazu tego lud używa? Zamiast *zbytu*, oddawna wprowadzonego do ekonomii politycznej, sprawozdawca *Bibl. Warsz.* radzi używać *odbytu*, zapominając lub nie wiedząc, że istnieje wielka różnica między odbywaniem i zbywaniem, że *zbyt* (towaru) nie jest odchodzeniem, lecz sprzedawaniem towaru, że mieści w sobie pojęcie czynności. Podobnie naiwnym jest zamach na *ciepłotę*, posiadającą prawo obywatelstwa w fizyce i medycynie. Propozycya zastąpienia słowa *dedukować* słowem *wnosić*, *wnioskować* świadczy, że p. L. S. W. nie zna słownictwa logicznego.

Wogóle o większości kazań w przedmiocie czystości języka polskiego rzec można, że chcąc im zadość uczynić, należałoby go obedrzeć z kilkowiekowego dorobku i wrócić do tych jego zasobów, kiedy dopiero w literaturze odzywać się zaczął. Na szczęście naród mija z uśmiechem gderających tetryków i dalej snuje swą pracę rozwijania mowy z pierwiastków rodzimych i dopełniania jej odpowiedniemi pożyczkami u ludów pokrewnych lub nawet obcych. Żaden język własnemi jedynie siłami nie wydoła potrzebom umysłowym tych, którym za organ służy. Kto chce z niego wypędzić obcy wyraz, niech wypędzi także z życia obcą instytucyę; kto nie chce używać wyrazu *substancya* lub *absolut*, niech nie korzysta z wekslu lub poczty, bo i to są wytwory cudzoziemskie. Myśli, pojęcia rodzą się w swej własnej formie i w inną przebrane być nie mogą; przejmując pojęcia, musimy przejmować ich formę, a procesu tego nie wstrzymają polowania bocianów, wyłapujących na swojskiej łące cudze żaby. Wyprawy Skoblów i innych Don Kiszotów tejże chorągwi pozostaną zupełnie bez wpływu, bo nie znają miary, bo walczą z wiatrakami. Jedynym ich skutkiem jest połechtanie humoru społeczeństwa i wywołanie takiej trafnej odpowiedzi, jak ta, która radziła *Skoblowi* przezwać się naprzód *Zaswą*. Ogół pozostanie głuchym na te gorzkie żale, a gdy mu, jak niegdyś w Czechach, przygotują „poprawne" zawiadomienie o iluminacyi, nikt świecy nie zapali, bo nikt owych „poprawnych" dźwięków nie zrozumie.

Wnioski z powyższego wywodu dwa: 1) nie możemy uznać nadmiernych wymagań czystości i poprawności języka, stosowanych do prasy, zwłaszcza codziennej i 2) nie możemy ich uznać dla tych nabytków mowy, które są rzeczywistem i koniecznem jej wzbogacaniem. Oba te wnioski nie przeszkadzają nam zgodzić się w zasadzie na potrzebę uwolnienia, zarówno prasy jak wogóle mowy od skażeń i dziwolągów. *Prawda* należy do pism nader dbałych o swą językową powłokę, nie możemy jednak zapisać się do szkoły Skobla, który gotów był każde cielę nieczerwone uznać za potwora i w słoju umieścić.

Inną podstawę i wartość naukową ma odbitka z *Tygodnika Ilustrowanego* p. t. „W sprawie pisowni polskiej," wyjątkowo pięknym, jasnym i dzielnym stylem napisana. Autor — „stary pedagog" — wykazuje potrzebę ustalenia chwiejnej ortografii, karci nieokiełznane innowacye oraz rozbiera szereg zagadnień językowych. „Dziewczynka — są jego słowa — przyzwyczajona, dajmy na to, pisać swe imię według przyjętych w powszechnie używanych gramatykach prawideł: *Marya* lub *Zofia*, naraz w szkole spotyka się z przepisem, nakazującym zmienić się na *Maryję*, *Zofiję*; gdy znowu w innym zakładzie, albo w tymże samym inny nauczyciel zaleci pisownię: *Marja*, *Zofja*. Czyż nie będzie to dla tych *dusz gąsienniczek* prawdziwa trzykrotna entomologiczna metamorfoza? Ma się rozumieć, że takiejże chwiejności podlegają wszelkie inne nazwy rzeczowników żeńskich, ze starożytnych języków przyswojone, a już nieszczęśliwa *geografia*, do trzech odmiennych końcówek otrzymując jeszcze troisty przyczółek: *geo-*, *gieo-*, *jeo-*, dojść może do dziewięciokrotnej kombinacyi, jak gdyby kaprys naszych filologów liczbą dziatwy Appolinowej chciał tej nauce wynagrodzić najbardziej upośledzone na wychowawczym Parnasie stanowisko." Czujemy wraz z autorem konieczność wyjścia z tego odmętu, z którego nas żadne „poważne ciało naukowe" nie wyprowadzi. Od kilku już lat wznoszą się modły do Akademii Krakowskiej, na które ona odpowiada serdecznem ziewaniem. Gdyby w naszej prasie możliwą była zgoda inna, prócz zgody w chwaleniu księży i przyjaciół, możnaby przy współudziale ludzi kompetentnych wypracować zasady pisowni, usuwające przynajmniej największe różnice. W obecnym jednak stanie i skojarzeniu naszych sił umysłowych, musimy chodzić jedni do sasa drudzy do lasa, jedni oszczędzać *joty* a drudzy karmić niemi nawet prostaczków i tworzyć razem tę wieżę Babel, jaka się w naszej pisowni wzniosła. W każdym razie odczytajcie broszurkę „starego pedagoga."

M. S.

EMIL GIRARDIN
w roku 1806—1881.

Dziennikarstwo francuzkie straciło w tym roku nietylko jednego z najświetniejszych przedstawicieli, ale, właściwie mówiąc, swój ideał i bożyszcze. Nikt godniej, ani lepiej nie umiał swojem życiem i charakterem przedstawiać interesów prasy, od świeżo zmarłego Emila Girardin, i w nikim lepiej od niego nie wcieliły się jej przymioty i wady. On ją stworzył, a ona go później urabiała na obraz i podobieństwo swoje, i to tak dalece, że pod mokrą jeszcze ziemią cmentarza Montmartre nie człowiek leży, ale dziennik ze swojem życiem ruchliwem, pełnem przygód, bogatem we wpływy, pożytecznem i zarazem szkodliwem, gorączkowem, idealistycznem z jednej strony a materyalnem z drugiej, obsługującem je-

dnocześnie dobre instynkta i złe, zostawiającem trwałe ślady swojego istnienia tam, gdzie się tego najmniej spodziewano, a bezowocność tam, gdzieby interesy społeczeństwa najwięcej potrzebowały poważnej płodności dziennikarskiego umysłu.

Umysł Girardina, jak charakter każdego dziennika, był czysto efemerycznej natury. Myśl jego, jej natężenie i kierunek, zmieniały się jak łamy zadrukowanego świstka i pozwalały się pokrywać nowemi codzień, przy każdej nowej sposobności, przy każdym nowym politycznym lub społecznym przewrocie. Pomiędzy rokiem 1836 a 1848 stworzył w polityce to, co się od owego czasu nazywa oportunizmem. Dla osobistych interesów więcej niż przez miłość publicznego dobra bronił konserwatyzmu, wielbiąc postęp; stał po stronie ministerium, naganiając ministrów. Naturalnie, jako postępowy konserwatysta, miał przeciwko sobie i postępowych i konserwatystów, to jest wszystko, co jest uczciwe i co nie znosi dwuznaczności. A Girardin już nie kochał się, lecz nurzał w dwuznaczności po uszy. Przez ustawiczną potrzebę poruszania myśli stawał się czasami nawet dobrym prorokiem: strzelając ciągle na oślep, umiał trafiać przypadkiem w cel. Tak udało mu się przepowiedzieć *rewolucyę lutową* i zawczasu wynieść Lamartine'a. Od roku 1848 kolejno zwalczał i podtrzymywał ministerium Guizota, rząd tymczasowy, reakcyę i Rzeczpospolitą; z zajadłością rzucał się na generała Cavaignaca i sławił lojalność księcia Ludwika Bonaparte; od czasu wstąpienia na tron tego ostatniego obrócił swe pióro przeciwko niemu i na chwilę stracił kredyt w opinii publicznej. W 1856 roku dziennik *Presse* poszedł w zapomnienie. Lecz nie Girardinowi to spocząć na laurach. Po upadku *Presse'y* założył *Liberté*, która od pierwszego numeru miała zapewnione powodzenie, jakkolwiek jej kierownik ani w uczciwości, ani w logice nie wprowadził najmniejszych choćby zmian. Były to znowu te same myśli, pojęte w duchu chwili, poczęte przez przypadek, urodzone na łonie codziennej polemiki, ograniczone potrzebami szczupłych ram dziennika i wychowane odpowiednio do gustu i upodobań tłumu. Nie kierując się żadną stałą teoryą w polityce, ani uczciwością, choćby konwencyonalną w życiu, walczył dalej za liberalizm, plebiscyt, podżegał wojnę do ostateczności w 1870 roku, odznaczył się niewdzięcznością względem Gambetty, okrył się śmiesznością w czasie i po komunie, żądając rozdzielenia Francyi na piętnaście sfederowanych grup, i nareszcie stanął na piedestale chwały po 16-ym maja. Chwytając wyborną sposobność do walczenia, jak starzy szermierze, którzy według Plutarcha odzyskują swoje mięśnie w cyrku, Girardin oświadczył się wprost i śmiało przeciwko panom Broglie i Fourtou i stanął do boju. Dzięki to prawie jego artykułom z *France* gabinet *porządku moralnego* runął, ustępując miejsca dzisiejszym ludziom republikańskiego rządu. Dziewiąty okręg Paryża w nagrodę, jak się wyrazili wyborcy, nie cnót jego życia, lecz sprowadzenia upadku gabinetu Broglie-Fourtou, wysłał go do Izby, gdzie Girardin przez brak stałej i jasnej linii w polityce nie odegrał żadnej roli aż do samej śmierci.

Życie jego było pełne przygód, tajemnic, uroku i hańby. Urodzony z nieprawego łoża, zostawiony sam sobie i dobrej lub złej doli przypadku, Girardin w dwudziestym roku życia tak scharakteryzował swoje położenie: „Interesującym do rozwinięcia w powieści byłby charakter młodego człowieka, który urodzony jak ja bez rodziny, bez majątku, zmuszony zapobiedz wszystkiemu, czego mu nie stanie, przez swoją własną tylko energię, którego siły wzrosną w miarę przeszkód, — charakter młodego człowieka, któryby się wzniósł po nad takie położenie; który zamiast uledz trudnościom, myślałby tylko o ich zwyciężeniu i umiałby dobić się stanowiska dosyć wydatnego, aby zwrócić na siebie oczy tłumu i zemścić się tym sposobem za swoje opuszczenie.“ Lecz aby stworzyć sobie takie stanowisko, potrzeba było mieć takie siły, taki temperament i taką wiarę w siebie, jakich zapowiedź widać w postawionym przezeń zawczasu programie życia. „Aby wyjść z zapomnienia—pisze on w 1872 r.—jest tylko jeden sposób: grzebcie ziemię waszymi pazurami, jeżeli nie macie narzędzi, lecz grzebcie dotąd, dopóki z jej wnętrzności nie wydrzecie miny.... Kiedy ją znajdziecie, inni przyjdą kłócić się z wami o nią, a może nawet i odebrać; lecz jeżeli jesteście mocniejsi, będą oni wam pochlebiać, a kiedy nie będziecie potrzebowali nikogo, przyjdą wam na pomoc.“

Tą miną złotą było dla niego dziennikarstwo, a pazurami do grzebania ziemi umysł giętki, żywy i niekrępujący się ani celem, ani środkami, choćby najmniej nawet uczciwymi. „Czas metafizyki już minął — pisze on na jednej ze stronnic *Emila*, puszczonego w świat w dwudziestym roku życia. Moralność powinna być tylko matematyczną demonstracyą w wieku, w którym wszystko się redukuje do interesów pozytywnych; nie przepisów zatem potrzeba, lecz przykładów. Moralność zmieniła imię i nazywa się teraz statystyką: prawda odtąd powinna wychodzić tylko z porównania faktów.“

Trzymając się ściśle takiego celu dobicia się stanowiska za jakkąkolwiekbądź cenę i posługując się taką filozofią moralności, która jest tylko liczbą w statystycznych kolumnach nie zaś apriorycznym przepisem, Girardin stanął do walki z życiem i zwyciężył prawie odrazu. Założywszy i straciwszy kilka z rzędu dzienników, nauczył się spekulować zadrukowanym papierem jak na giełdzie. Dziennik stał się *akcyjną aferą*, przemysłem w jego rękach, które szukały na wszystkie strony złota, oddając za jego wagę, co kto chciał. Z myśli poruszanych na wolę przypadku nie wiele a może nic nie zostanie na jutro. Wszystkie one rozsypały się lub rozsypią niedługo w proch razem z jego ciałem. Najważniejszą, najtrwalszą rzeczą, jaka się została po Girardinie, to dziennik w swej materyalnej istocie, jaką on w niego tchnął. Dzięki to jemu publiczność zaczęła otrzymywać codzienną strawę duchową z początku za czterdzieści franków rocznie, następnie za dwa sous dziennie, ostatecznie zaś za sous'a. Jest to taki dobry rodzaj przemysłu, jak każdy inny — ale dobry dla spekulantów tylko; gdyż, jak pisał nazajutrz po śmierci Girardina *Temps*, dziennik „przed nim był organem opinii, narzędziem propagandy; jest on wprawdzie tem i dziś jeszcze w pewnej mierze, ponieważ polityka została się jego zewnętrzną racyą bytu i szyldem; lecz pomimo woli, w gruncie rzeczy, stał się on czysto przedmiotem spekulacyi.“ Co więcej, dziennik obecny, tak przystępny i popularny z powodu swej taniości, tak wpływowy z powodu swej ruchliwości i rozpowszechnienia, stracił zupełnie na znaczeniu literackiem a nawet i na godności: kto bowiem dziś troszczy się tak bardzo o odpowiedzialność, kto nie przekłada wiadomostki drażliwej nad dokładną informacyę, coś zabawnego nad pouczające i kto nie ma więcej na uwadze raczej sprzedaży dziennika niż jego realną wartość? Tak, Girardin przetwarzając dziennik na przedmiot spekulacyi, a dziennikarstwo na schlebianie i zadawalnianie gustu publiczności, wywarł wpływ więcej szkodliwy na swoje społeczeństwo, niż dobroczynny. Odtąd każdy umysł poważny, prawy, zmierzający do celu idealnego, nie tak jak Girardin do poruszania jak największej liczby myśli i osiągnięcia największej masy renty, będzie miał do zwalczenia literacki przemysł, taniość, ruchliwość, przyjemną płytkość, dwuznaczną uczciwość i stanowczą bezczelność każdego dziennika, który za przykładem *Presse*, *Liberté*, *France* lub *Petit Journal* sprzeda się każdej idei, każdemu człowiekowi, każdemu rządowi, byle za wielkie pieniądze i byle to nie szkodziło materyalnym interesom pisma.

Girardin dziennikarzem we właściwem znaczeniu tego wyrazu został stosunkowo dosyć nawet późno. Odtąd jednak umysł jego nie potrzebował czuwać nad spekulacyami finansowemi, myśli sypały się jak z rogu obfitości. Te artykuły, które zostały zebrane w jedną całość, stanowią dwadzieścia grubych tomów. Mało tam znaleść by można było literatury—tak smak artystyczny gubił się w potrzebie polemizowania. Na starość żywa forma pisarska Girardina obróciła się w dziwaczną, a nawet czasami i śmieszną manierę siekania myśli na krótkie frazesy i bawienia się w antytezy. Co zaś do myśli, jakie poruszał przez czterdzieści przeszło lat swojego życia, wszystkie one doznały prawie jednego i tego samego losu: bawiąc przez chwilę błyskotliwością paradoksu, zaginęły w swoim własnym wirze. Zresztą Girardin zapalał się do swoich myśli, ale tylko wobec przeciwnika: przeprowadzenie systematyczne jakiejkolwiekbądź idei było mu obcem. Rzucał paradoks w świat, nie troszcząc się o jego urzeczywistnienie. Z projektów jego najważniejsze są:

Zniesienie konstytucyi, ponieważ konstytucya jest granicą i przez to samo wywołuje rewolucyę;

Zniesienie praw, ponieważ one są przeszkodą do postępu;

Zamienienie państwa na proste „narodowe stowarzyszenie zbiorowych oszczędności i wzajemnych pomocy;“

Zniesienie armii stałej i zredukowanie poboru do ochotnictwa;

Wprowadzenie podatku dobrowolnego;

Puszczenie całej francuskiej ziemi na akcye;

Określenie minimum płacy dla robotnika;

Zniesienie małżeństwa i nadanie dzieciom imienia matek;

Zastąpienie kodeksu cywilnego przez wyroki sądów polubownych, a kar kryminalnych przez „wpisanie życia" to jest przez opublikowanie *curriculum vitae* każdego człowieka.

Wszystkie te idee, zarazem dobre jak i złe, słuszne jak i śmieszne, poszły z nim do grobu. Nikt w spuściźnie nie przejął po nim socyalnych pomysłów, nikt ich nie broni, nikt ich nie prowadzi dalej. W zarodku były one wadliwe i niezdolne do dłuższego życia, niż jednodniowe życie samego dziennika, który je głosił. Tym sposobem cała wartość moralna, cały wpływ Girardina na społeczeństwo redukuje się do wartości moralnej i do wpływu dziennika: porusza on myśl rano, o której się zapomina wieczorem. Nazajutrz, jeżeli przedstawia jakikolwiek interes, to tylko pieniężny i tylko dla tych, którzy są jego akcyonaryuszami. Girardin tak samo jak dziennik, którego był absolutnem wcieleniem, zrobił swoje: poruszył potworną masę myśli i zostawił miliony dwu swoim synom.

Antoni Sygietyński.

LEOPOLITANA.

VII.

Tak tedy określiliśmy owo duchowe *milieu*, ową wstrętną atmosferę fałszu i obłudy, która jest nieuniknionym wynikiem narzuconych nam politycznych stosunków, a w której fatalnie marnieć musi nasze dzisiejsze pokolenie. Znajomość tego *milieu* jest dla zrozumienia współczesnego ruchu na piśmienniczem naszem polu niezbędną; bez niej bowiem niepodobna sądzić o działalności każdego z naszych pisarzy, na których otoczenie owo wpływ swój koniecznie wywierać musi, i których zatem ono — jeżeli je pomnożymy przez indywidualne ich temperamenty, przez ich duchowe i fizyczne rodowody, wreszcie przez osobiste ich moralne doświadczenia — ostatecznie uzupełnia i tłomaczy.

Zauważył to podobno pierwszy Stendhal, że ustrój rządu oddziaływa zawsze na estetyczne pojęcia rządzonych; że przeto istnieje piękno konstytucyjne tak samo, jak istnieją rodzaje piękna, odpowiadające monarchiczno-absolutystycznemu i republikańskiemu ustrojowi. Prawdziwość tego pozornie paradoksalnego aforyzmu stwierdzić można, zwiedzając Wersal i przechadzając się po tamtejszym ogrodzie, gdzie szpalery drzew pod sznur sadzonych, popodziemnych i wykoszlawionych, dziś jeszcze świadczą o kapryśnych, samowładczych zachciankach Króla-Słońca, który wolę swą narzucał nietylko ludziom, ale i przyrodzie. Szpalery te nieme i pod tchnieniem królewskiego *car tel est mon bon plaisir!* skostniałe, odpowiadały pojęciom o pięknie ówczesnego francuskiego społeczeństwa, korzącego się przed despotycznem *l'Etat c'est moi!* potężnego władcy, — tak samo, jak odpowiadały estetycznym pojęciom angielskiego, mlekiem samorządu wykarmionego społeczeństwa, owe współcześnie pozakładane parki, gdzie swobodnie rozrośnięte drzewa ocieniają szmaragdowe błonia, gładkie wód zwierciadła i malowniczo wijące się ścieżki, toczące zielonego liścia warkoczem nieustanne z wiatrem rozhowory. Tam bezruch i skostniałe nieme posłuszeństwo — tutaj bujne życie i swoboda!

Owóż, jeżeli kierując się wskazówkami Stendhala, przypatrzymy się piśmienniczym naszym płodom z dzisiejszego austropolskiego konstytucyjnego okresu, to ujrzymy, że cechą ich jest rażący brak prawdy, życia i zdrowia, tudzież bezgraniczna rzeczywiście jałowość. I nie dziw! Wlazłszy między wrony, musim krakać jak i one! W państwie, na tak wątłych a nienaturalnych stojącem podstawach, trzeba koniecznie gwałt zadawać piersi, aby się z niej nie wyrwało śmielsze westchnienie, śmiech serdeczniejszy; — a nuż się jeszcze chałupka rozwali?! To też proszę patrzeć, jak to w piśmiennictwie naszem panuje dziś obawa dotknięcia wielkich zagadnień, stojących przed ludzkością! jakie zasłanianie oczu przed słońcem! jakie nawiązywanie myśli do drobnych celików, którym służy spryt malutki, malutkie rozpalające pożary! jaka wreszcie w zakonie moralnym łataninka! Wyższych wrzekomo słuchające względów, umie prawda wczorajsza dziś miejsce nowej ustąpić prawdzie, która jutro znowu innej miejsca ustąpi, — i mamy tu skutkiem tego szczęśliwego, moralnego płodozmianu, co dzień „świeżą" etykę, mniej więcej tak, jak „co dzień świeże pieczywo." Rzekłbyś, że wieczyste prowizoryum, które — jak to słusznie swojego czasu zauważył p. de Forcade — treść i istotę Austryi stanowi, wniknęło już w krew naszą i kości, i że myśl nasza, stawszy się księżycem c. k. austryackiego słońca, zbiegła z dawnych swych szlaków i żyje dziś już tylko owym ideałem, wystarczającym chyba tylko Azorciom lub Fidusiom, ową *Treue und Anhänglichkeit an mich und mein Haus*, którą nam monarcha w czasie swej podróży, jako najwyższe *logos*, postawił.

Weźmy n. p. za przedmiot badania jednego z najwybitniejszych przedstawicieli naszego piśmienniczego pokolenia, pana Jana Lama, i przypatrzmy się jego dziś już blisko dwudziestoletniej autorskiej działalności. Pan Jan Lam łączy z szczęśliwym pisarskim, sangwiniczno-żółciowym temperamentem, i żelaznem prawdziwie zdrowiem, potężny talent, oraz gruntowne wszechstronne wykształcenie; należy przeto bez wątpienia do rzędu tych ludzi, którzy są powołani, by lecieli

przodem
Jako żórawi łańcuch przed narodem.

A jednak, jednak! — żal serce ściska! — i cokolwiek na to powiedzą liczni tego pisarza zwolennicy, jaka w płodach jego bezgraniczna jałowość, jaka szalona prawdy poniewierka! Nie stawiając już tutaj tych wygórowanych wymagań, które do ludzi pióra stawia Sainte-Beuve, przyznając chlubne nazwisko pisarza temu jeno, który chociażby jedną nową moralną lub naukową prawdę postawił, albo też istniejące już bliżej określił, udowodnił i kategorycznie ponad dyskusyę wywyższył, — owszem zniżając roszczenia nasze do najpospolitszej miary: jakaż jest jego w służbie prawdy uczciwość? jaka pisarska szczerość? jakie w świecie myśli stanowisko? Przechodząc niby narzędzie jakie z ręki do ręki wydawcy, przerzuca on ludźmi i etycznemi pojęciami, jak pozłacanemi gałkami. Ta sama prawda, która dziś w Kalospintechromokrenie jego dowcipu jaśniała blaskiem gwiazdy zarannej, porzuconą zostanie jutro na śmietniku jak zgniły kartofel, aby pojutrze stamtąd wydobyta, zabłysnąć znowu Syryuszem lub Oryonem, — i ten sam człowiek, którego dzisiaj na świecznik wywyższył jako Waszyngtona, wywleczonym zostanie jutro jako łotr na pręgierz, aby pojutrze znowu z błota wydobyty laurowym został uczczony wieńcem.

Czytając kroniki p. Lama czas dłuższy, dziwnego się doznaje wrażenia. Jest świat— maleńki światek, zakreślony czterema ścianami redakcyjnego pokoju i oświecony słońcem programu (gwałtu! nie rozchodźcie się!) stronnictwa. Na tym świecie żyją ludzie dziwnego nabożeństwa, z dwu nierównej moralnej miary połów sklejeni. Nikt sobie tam nie łamie głowy nad wielkiemi politycznemi i społecznemi zagadnieniami; — nikt się tam nie zajmuje kultem wiedzy i piękna, — niema piśmiennictwa, niema teatru, niema ruchu umysłowego i naukowego, a ekonomiczny ogranicza się na sprawie zaciągania pożyczek u żydów. Istnieje Traumglas, właściciel domu, w którym mieszka autor; — p. Lam, główna według kroniki w dziejowym galicyjskim dramacie osoba, toczy z tym jegomością wieczną walkę, nie mogąc — jak się również z kronik dowiadujemy — nigdy w terminie zapłacić czynszowego; istnieje Chochlik, Szczutek i p. Dobrzański, którzy wiecznie mówią: „czarno," ilekroć p. Lam „biało" powiada, są przeto powodem wszelkiej galicyjskiej biedy; istnieje wreszcie p. Rodoć, prowizoryczny polski Beranger, i p. Adam Miłaszewski, również prowizoryczny polski Laube, świecący — każdy w swoim zakresie — jako Mężowie Czterdzieści cztery, na to tylko, ażeby jutro—*utinam falsus sim vates*—zostać zdegradowanemi do zera, a potem kiedyś znowu jako Mężowie Czterdzieści pięć zabłysnąć. Ruch polityczny, a trzeba wiedzieć, że głównym zadaniem kronik jest służyć temu ruchowi, ruch polityczny w tym deseczkami zabitym świecie—powiadam— ogranicza się jedynie i wyłącznie do akcyi wyborczej. Nie chodzi nikomu o naprawę naszych społecznych stosunków, o podniesienie oświaty, dobrobytu i t. d., lecz tylko o to, ażeby zamiast Pawła i Macieja, których popiera *Gazeta Narodowa*, Piotr i Bartłomiej zostali wybrani do rady miejskiej, sejmu lub Rady Państwa, co się — niestety! — bardzo rzadko wydarza. Oprócz tej peryodycznie wracającej dolegliwości, nie zagrzewa nic żółci naszego kronikarza. Świat jest piękny, dobry, i byłoby wszystko w jaknajlepszym porządku, gdyby — piwiarnia Pfinka miała lepszą lodownię, a kelnerzy u Eliasza nie podawali rozbratlów z włosami!

Ale nie tylko w polemicznych kronikach p. Jana Lama, malujących nam świat i spo-

łeczeństwo takiemi, jakiemi one nie są, — owszem nawet i we wszystkich jego powieściach objawia się wpływ atmosfery, w której żyjemy, poniewierką prawdy i jałowością. Pisząc to, wiem dobrze, iż gorące z waszej strony wywołam zaprzeczenie; niedawno bowiem temu umieściliście recenzyę jego *Dziwnych Karyer*, pełną uznania dla pisarskich jego zdolności*). Mimo to trwać muszę przy mojem twierdzeniu; nie chodzi mi bowiem w niniejszej sylwetce o dowcipnego bawiciela, o wykwintnego stylistę, o zręcznego powieściarza, lecz płonącego świętym ogniem satyryka, chłoszczącego bezlitośnie wady swego społeczeństwa, o pisarza „z łaski bożej“ podającego według swej najlepszej wiedzy i sumienia zdrowy pokarm czytelnikom. Otóż z *tego* wychodząc *stanowiska*, muszę płodom powieściarskiej muzy p. Lama odmówić dodatniej wartości. Pan Lam przedstawia się jako wieczny *condottiere*, ślubujący sprawę swego wydawcy, bez względu na to, czy sprawa ta słuszną jest, czy nie. Jak nam to sam powiedział, pisze on temu, który mu płaci, — ja zaś, który się przypatrywałem jego działalności przez lat wiele, i to pod redakcyami zupełnie przeciwnych sobie przekonań, dodam tu, że ślubuje najprzód narzucane sobie zapatrywania, a dorabia sobie potem dopiero odpowiednią do tych zapatrywań teoryę, którą w tak sztuczną siatkę sofizmatów wikła, aż wreszcie — z najlepszą już jak sądzę wiarą — sam w jej sidła wpada. Dziwnemu temu procesowi, który nam zmienność przekonań p. Lama tłomaczy, przypatrywałem się kilka razy, i polecam go jako objaw ze wszech miar ciekawy uwadze naszych psychologów.

Ale wracając do powieści p. Lama, te, tak samo jak i kroniki jego, pisane były zawsze pod natchnieniem redakcyjnej Egeryi, ukrywa się przeto poza fabułą ruin obrok duchowny, który prawdą nie jest, — pewna *arrière-pensée*, pełna częstokroć fałszu i przebiegłości. My też, którzy znamy rodowód tych powieści, nie możemy się zachwycać żadną miarą; we wszystkich bowiem kłuje nas w oczy owo szydło, które płody te do miary zwykłego i to nie w dobrym celu pisanego obniżają pamfletu. I tak np. pisaną była *Panna Emilia* w celu prostowania ścieżek hr. Gołuchowskiemu; *Koroniarz w Galicyi* w zamiarze złamania wpływów przebywających u nas braci z za Wisły. *Głowy do pozłoty* — prawdziwe *ôte toi de là, pour que je m'y mette* dla sponiewierania domu Sapiehów, których wpływ i znaczenie zawadzały Benjaminkowi *Dziennika Polskiego* p. Ziemiałkowskiemu. *Dziwne Karyery* wreszcie w celu rozerwania stosunku, który chwilowo wiązał właściciela *Dziennika Polskiego*, księcia Adama Sapiehę z pewnym tutejszym literatem, nieodznaczającym się wprawdzie wielkiemi zdolnościami i wiedzą, lecz za to nieskazitelną prawością i najlepszemi chęciami. Chodziło mianowicie o to, ażeby po najnowszej zmianie redakcyi uniewożliwić rzeczonemu dziennikarzowi ponowne objęcie steru gazety, o co się właśnie toczyły z księciem rokowania, a tem samem utrwalić stanowisko dzisiejszych redaktorów i tytularnych właścicieli.

Owoż wszystkie te cele, a nie posądzam o nie p. Lama, lecz zawsze każdorazową jego Egeryę, nie były poczciwymi. Nie godziło się bowiem stawiać na świeczniku takiego *faiseura*, jakim był hr. Gołuchowski, który zwrócił oczy polaków ku Wiedniowi jakoby ku zbawczej jakiejś Mekce; nie godziło się bynajmniej w sposób taki walczyć z przebywającymi u nas koroniarzami, nie godziło się dla pięknych oczu p. Ziemiałkowskiego ściągać w błoto najniesłuszniej męża tak wobec kraju zasłużonego, jakim był bezwątpienia ks. Leon Sapieha; nie godziło się wreszcie dla drobnych widoczków koteryjnych szarpać dobrą sławę niewinnego, a pełnego najlepszych chęci kolegi. Stąd też tracą nawet i prawdy, tu i owdzie społeczeństwu naszemu wypowiedziane, całą swą wartość; prawdy te bowiem jeszcze są w interesie fałszu, i pełne przeto perfidyi. Siew ten nie wyda też z pewnością żadnego pomyślnego owocu w umysłach. I nie dziw — nie został on tam rzucony w interesie prawdy, lecz w innych widokach. Był to tylko piasek pustynny, i nic więcej!

(Dokończenie nastąpi).

*) Jako przewyższającemu nas znajomością stosunków miejscowych, pozostawiamy naszemu korespondentowi swobodę sądu, nie znosząc różnicy, którą sąd ten z naszym tworzy. Oddaleni od areny nie możemy w powieściach Lama dopatrzyć się wskazanych tu sprężyn i przyjmujemy je jako niezależne od rachub praktycznych utwory. Jeśli to złudzenie — rozczarowanie z niego byłoby bardzo przykre. To tylko nawet dla nas, patrzących zdaleka, jest niewątpliwem, że prasa galicyjska obniżyła swój kamerton i szarpaniem strun nader poziomych gra przed krajem kocią muzykę. Szersze, wyżej wzniesione, poważniejsze tony nie odzywają się w niej prawie wcale (*Red.*).

Urywek z poematu

PAN TADEUSZ(?)

J. Słowackiego.

Warta, tygodnik poznański, zdobywająca od czasu do czasu nieznane pozostałości piśmiennicze po znakomitych poetach naszych, ogłosiła znowu kilka urywków z jakiegoś utworu Słowackiego, nazwawszy je domniemalnie ustępami z *Pana Tadeusza*. Domysł ten wydaje nam się dosyć trafnym nietylko ze względu na treść zachowanych ułamków, ale i ze względu na znany pochop Słowackiego do naśladownictwa. Ułamki te brzmią:

I.

. . . .
Wielkiemi gromadami — przez...... do sieni
Wchodzą strzynadle [1]) złote i gile w czer-
[wieni,
A nawet ów dziw lasu, tak rzadko widziany
Halcyon—a na Litwie zimorodkiem zwany,
Który czasem strzelcowi pokaże się w borach
Przez mgłę gałązek — niby w anioła kolo-
[rach,
Nad zwierciadłem przełomki [2]) — piękny
[i błyszczący,
Jak anioł, w równi złote skrzydła trzyma-
[jący —
Nawet ów ptak pięknością zaklęty—i dziki
Zbłąkał się i nad domu zleciał gołębniki,
A potem nad sadzawki, w ogrodzie kopane,
Gdzie leszcze, karpie, pstrągi, pięknie ma-
[lowane,
Przeniósł się....
Wojski kazał powpuszczać ....ówptak z ja-
[snym grzbietem
Poleciał — i bił w ryby dziobem jak
[sztyletem,
Słowem wszystko, jak gdyby szukało
[uchrony
U człowieka, ciągnęło z lasów.... Smętne
[wrony
Zaludniły podwórze.... obozem się mieszczą
W topolach — gdzie pod wieczór zwichrza-
[ją się — wrzeszczą,
I pod zorze gną czarną drzew obdartych
[głowę —
Wojski mówi, — że wiodą swe sprawy sej-
[mowe.

* * *

Tak ptactwem gadająca, choć mgłami po-
[nura
Stała się ta litewska przemienna natura,
Zawsze żywa — i z duchem ludzi zawsze
[zgodna,
Dobra — nie martwa — chociaż skościała i
[chłodna,
Właśnie jak Litwin.... który śród świętych
[przymierzy
Skupił się w sobie — stężał — niby tru-
[pem leży,
A jednak pełny życia — i wielkiej pamięci,
Gdy mu wróg wbiegnie—on go niby wąż
[okręci
Od nóg — po pierś pierścienie ......[1]) —
[wieńców skróci,
Rozwinie się — i trupa z objęcia wyrzuci. [2])
. . . .

II.

. . . .
Ów to dwór Soplicowo, gdzie historya nasza
Odbyła się — pod tchnieniem Boga Bo-
[reasza —
Inne wdział szaty.... twarze zupełnie od-
[mienił —
Ów las topoli już się więcej nie zielenił.
Dziedziniec—gdzie bławatki, cykorye i maki
Barwiły się, jak szalów indyańskich szlaki,
Teraz biały.. wczorajszą zasuty zawieją,
A na nim ścieżki — świeżo deptane —
[czernieją
Od folwarków do dworu — od stodół do
[gumien —
Wszystko smętne.... a domy stoją na-
[kształt trumien
Na podwalinach.
Wszystko zamarło do czasu.
Z daleka ciemna wstęga sosnowego lasu
Ściemniała — widać przez las błękit bitej
[drogi —
Wiatr przez nię leci — sosny jak litewskie
[Bogi
Chwieją się — jodły siedzą, śniegiem przy-
[walone —
Gdzieniegdzie drewka ścięte — jak cegły
[czerwone
Poukładane w stosy.... inne do trojnogów
Podobne.... jak ołtarze dawnych Litwy
[Bogów,
Czerwienią się.... po lesie — osmętnione
[mgłami,
I sosen tak nakryte liściem—jak chmurami.

O zimo! twoję piękność smętną — uciszenie
Lasów—i rzadkie słońca złotego promienie
Czuję dziś.... nakształt czaru i nakształt
[uroku.

[1]) *Strzynadle*, tyle zapewne co nasze trznadle.

[2]) *Przełomka*, widocznie prowincyonalizm, którego znaczenie może jaki litwin wytłomaczy.

[1]) Miejsca kropkami oznaczone są nieczytelne w manuskrypcie.

[2]) Waryant:
A jednak, kiedy mu wróg wbiegnie bez pamięci,
Z dołu powstaje — od nóg — jak wąż się okręci,
Około bioder — pod pierś— cicho ciało opierścienia,
Aż nareszcie — wrogowi z pod jego ramienia,
Wytknie głowę i cichy śmiech pokaże smoczy,
Twarz tuż przed twarzą — przed oczyma oczy

Bom w życiu przyszedł na tę smętną porę
[roku, [1])
Która wszystko ucisza.... i pod śniegiem
[chłonie.
Z miłością bym więc ciche zamieszkał
[ustronie,
W okrąg którego puszcza czerni się bez-
[brzeżna,
A nad nią we mgłach błyszczy Matka
[Boska Śnieżna. [2])

W Soplicowie—choć już się zbliżały zapusty,
Zjazdu nie było — dom był cichy—prawie
[pusty,
Wczora właśnie — francuskie oficerstwo
[starsze,
Które wtenczas przez marsze i przez kon-
[tramarsze
Włóczyło się po Litwie z armią dowozową,
Opuściło gościnne zawsze Soplicowo.

. . . .

III.

. . . .

Noc była — wietrzna, śnieżna — a wi-
[chry śpiewały
W kominach swoje zwykłe płaczące cho-
[rały —
Kobiety.... przy dwóch świecach — w ba-
[wialnym pokoju
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym
[stroju,
Same jedne — wizyt się w domu swoim
[żadnych
Nie spodziewając — dla mgieł i czasów
[szkaradnych —
Gdy nagle przed oknami — jak świst,
[grzechot węży,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk
[uprzęży —
Straszny dla domu łoskot — z których
[zwykle jadą
Sanie ogromne, liczne — tak zwaną szli-
[chtadą,
Z napaścią, która domy półsenne odurza,
Jak napaść zbójców.... Taka przyleciała
[burza
Na dziedziniec.—Zlękła się Telimena mocno.
Spojrzawszy na szlafroczek i na odzież
[nocną —
Spojrzała przez okiennic szpary — a śnieg
[złoty —
Pełno kagańców;—bieży—zrywa papiloty,
W oczach widać, że straszne zobaczyła mary,
Lecz nie brzydkie.... krzyknęła do Zosi:
[„huzary!“
I uciekła.
Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podró-
[żnego stroju;
Sądziłbyś, że cywilny — gdyby nie miał
[szpady
Pod pachą — dosyć piękny na twarzy —
[i blady
Mimo zimna. Twarz była jak marmur
[niezmienna
Owszem — rzekłbyś, że bielsza od mro-
[zu — promienna.
Jak miesiąc złota.... Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się zlękła—oczy spuszcza—nie podnosi,
Nie śmie... stoi jak posąg—a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać—poznała cesarza
Napoleona....

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Rocznik zbiorowy prac naukowych na rok 1880, Warszawa 1880.

Po raz już drugi młodzież nasza składa w literaturze zbiorowy dowód swych prac naukowych. Nie potrzebujemy zapewniać, jak nas każdy taki objaw cieszy; jest on najchlubniejszym świadectwem postępów myśli tych, którzy są wcieleniem nadziei kraju. Ze względu właśnie na szczególną wagę, jaką w oczach naszych posiadają tego rodzaju wydawnictwa, zajmiemy się specyalnie każdą rozprawką, wchodzącą w skład *Rocznika*.

A naprzód jego pracami matematyczno-przyrodniczemi.

O niewymierności liczby e (od str. 263 do 305) rozprawa p. I. Cohna, studenta kursu III wyd. mat., napisana, jak się to okazuje z jej ostatniego ustępu, pod kierunkiem p. M. A. Baranieckiego. Jest to uprzystępnienie części pierwszej rozprawy p. Hermite'a p. t. *Sur la fonction exponentielle*, w której tenże podaje dwa dowodzenia, że liczba e (podstawa logarytmów naturalnych) nie może być pierwiastkiem równania algebraicznego o współczynnikach całkowitych. Jedno z nich, będące przedmiotem pierwszej części rozprawy, a zatem i naszego autora, opiera się na metodzie Laplace'a, dotyczącej całkowania przez przybliżenie różniczek, zawierających czynniki w potęgach rosnących. Po przytoczeniu w krótkich słowach dowodów Lamberta i Fouriera, że liczba e nie może być wymierną, jako też sposobu p. Liouville'a, że ta liczba nie może być pierwiastkiem równania stopnia drugiego o współczynnikach całkowitych (jakkolwiek Liouville także dowiódł, że i kwadrat z niej nie może być pierwiastkiem podobnego równania), p. Cohn przystępuje do wyłożenia pomienionej wyżej metody Laplace'a, na którą się p. Hermite tylko powołuje. W wykładzie jej, bardzo zresztą jasnym, ogranicza się jedynie do tego, co jest niezbędne w jego zadaniu specyalnem. Następnie przechodzi do samego sposobu dowodzenia p. Hermite'a. Tu nastręczają się uwagi następujące.

1) Na stronnicy 283 autor niewłaściwie mówi: „Przypuśćmy, że $M-m=\mu$,“ albowiem ta równość wynika już z założeń poprzedzających.

2) Na stronnicach od 293 do 297, przy oznaczeniu pierwiastków równania odpowiadających największościom funkcyj pod znakami całkowemi, autor używa błędnej metody dla otrzymania pierwiastku nieskończenie wielkiego z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$. W oznaczeniu tego pierwiastku należy korzystać z okoliczność, że wielomian $f(z)$ dany jest jako iloczyn czynników pierwiastkowych; że więc stosunek jego pochodnej do niego samego daje się przedstawić pod postacią sumy odwrotności tychże czynników. Jeżeli zatem w tej sumie czynnik $\frac{1}{z}$ wyrzucimy za nawias, i do wyrazów pozostałych w nawiasie zastosujemy rozwinięcie dwumianu Newtona, to poprzestając na przybliżeniu pierwszem, znajdziemy na wyznaczenie będącego w mowie pierwiastku równanie stopnia 2°. Wartość przybliżona pierwiastku dodatnego tego równania jest właśnie tą samą, którą podaje p. Hermite, i która jest istotnie przybliżoną z dokładnością $\frac{1}{\mu^2}$. Ponieważ jednak metoda Laplace'a daje wartości dokładne uważanych tu całek dla μ nieskończenie wielkiego, to można było w oznaczeniu wszystkich pomienionych wyżej pierwiastków ograniczyć się do przybliżenia $\frac{1}{\mu}$ zamiast $\frac{1}{\mu^2}$, i wówczas osiągnęłoby się znaczne skrócenie: bo nie tylko w otrzymaniu samych pierwiastków, ale także i w oznaczeniu wartości poszukiwanych całek.

3) Autor, rozumiejąc wogóle bardzo dobrze cały aparat przekształceń p. Hermite'a, niezaznaczył dość wybitnie najważniejszego, kulminacyjnego punktu jego dowodzenia. Liczby N,... i P,.... są z założenia całkowitemi; więc suma iloczynów z liczb N,... przez odpowiednie liczby ε,.... musiałaby być także całkowitą dla każdej wartości całkowitej μ. Ponieważ nadto dla μ rosnącego liczby ε,.... maleją, przeto pomieniona suma dążyłaby do zera przechodząc tylko przez *liczby całkowite*. Jeżeli zatem dla dostatecznie wielkiego μ suma ta stanie się zerem, to już od owej chwili, w miarę wzrastania liczby μ, będzie ciągle zerem, niezależnie od tej liczby. Otóż, cała subtelność dowodzenia p. Hermite'a polega na tem, że prawe części równań, których wyznacznikiem się tu zajmuje, nie są nieskończenie małe zależne od μ, ale są równe zeru, i dla tego właśnie ostateczny dowód założonego twierdzenia wymaga tylko pokazania, że ten wyznacznik nie może być zerem. Gdyby bowiem prawe części pomienionych równań były niezkończenie małe zależne od μ. (co miałoby miejsce np. dla liczb N,.... niewymiernych) niemożliwość znikania owego wyznacznika niczegoby jeszcze nie dowodziła, z powodu, że dla μ nieskończenie wielkiego liczby P,.... są także nieskończenie wielkie, zależne od μ; że zatem iloczyny z wyznaczników częściowych tych liczb przez funkcye liniowe z liczb ε,... mogłyby dążyć do wartości także różnych od zera, dla μ nieograniczenie rosnącego.

Z tego wszakże cośmy tu powiedzieli zarzutu p. Cohnowi nie czynimy, jako autorowi dopiero początkującemu; owszem winszujemy mu bardzo, że już tak wcześnie umiał się zająć tyle poważną i trudną pracą p. Hermite'a. Zarzucilibyśmy mu tylko nieczystość języka, a osobliwie bardzo częste używanie rusycyzmów. *Wl. G.*

Z nauk przyrodniczych znajdujemy rozprawkę p. I. S. Konitza stud. kursu III p. t. *Przyczynek do absorpcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego*. Dziwny zbieg okoliczności zdarzył, że zupełnie współcześnie z ukazaniem się pracy p. Konitza ogłoszoną została w Anglii praca nad tymże samym przedmiotem W. I. Russella i W. Lapraika (*Journal of the chemical society*, Nr CCXXI, kwiecień 1881. str. 168), daleko obszerniejsza i ujmująca w system at to, co u p. Konitza stanowi pojedyńcze tylko fakty. P. Konitzowi wiadomem było, że wspomnieni badacze pracują nad pochłanianiem światła przez bezbarwne płyny; w rozprawie swej cytuje nawet (str. 258) wzmiankę ich, uczynioną o tym przedmiocie w czasopiśmie *Nature* w końcu ubiegłego roku, nadmieniając, że czytał ją już po ukończeniu odnośnych robót eksperymentalnych — z czego wynika, że wybór jednakowego przedmiotu poszukiwań był dziełem prostego przypadku. Obecnie, jeśli p. Konitz dalej swe badania zamierza prowadzić, praca Russella i Lapraika może być mu bardzo pomocną na tej drodze.

Tyle o stosunku pracy młodego autora do innych w tym samym przedmiocie. Co się tyczy jej treści, to stanowi ona badanie widm światła białego, po przepuszczeniu go przez bezbarwne płynne aromatyczne węglowodory, a mianowicie przez benzol, toluol i ksylol.

Rezultaty w tych trzech razach sprowadzają się do otrzymania smug absorbcyjnych w czerwonej i zielonej części widma i bardzo mało różnią się od danych Russella i Lapraika, a różnice te wytłomaczyć można nioco odmienną organizacyą doświadczeń. (Rura Russella i Lapraika dłuższa od rury p. Konitza,— pierwsi używali światła lampy Arganda lub światła Drumonda — ostatni—lamp gazowych). Wziąwszy nawet pod uwagę tę okoliczność, że p. Konitz badał widma w rurze (120 centym.) dwa razy krótszej, aniżeli Lapraik i Russel (8 stóp ang.), należy się zupełne uznanie wprawie p. Konitza w obserwacye. Też same bowiem smugi, które R. i L. obserwowali dopiero w 8-stopowej rurze, p. K. widział już w rurze o połowę krótszej, co dowodzi, iż znakomicie wykształcił swe oko do tego rodzaju badań.

---

[1]) Waryant: Bo on już w żywocie uczuł czwartą porę roku.

[2]) Waryant: Nad którem czuwa święta Matka Bozka Śnieżna.

Ostatecznym wynikiem ogólnym powyższej pracy, wynikiem, którego niestety pan Konitz nie zanotował w swej rozprawie, jest fakt, że zastępując w benzolu pojedyńcze atomy wodoru przez grupy metylowe, zwiększamy łatwość przepuszczania promieni bardziej łamliwych; bo smugi w zielonej części widma są jaśniejsze i węższe przy ksylolu, niż przy toluolu, a przy toluolu jaśniejsze i węższe niż przy benzolu, smugi zaś w czerwonej części widma w miarę zastępowania wodoru przez metyle, przenoszą się coraz bardziej w stronę czerwonego końca widma.

Fakt ten na tyle uderzył Russella i Lapraika, że zapragnęli oni sprawdzić, czy jest on ogólnym, — badali w tym celu widma jedno — i dwu chlorbenzolu i przekonali się na tych dwu ostatnich ciałach, że wprowadzenie chloru zamiast wodoru zwiększa przezroczystość dla promieni bardziej łamliwych, a zmniejsza — dla mniej łamliwych, zupełnie w ten sam sposób, jak wprowadzenie metylu.

B.

(Dokończenie nastąpi).

BOEROWIE I TRANSVAAL.

I.

Pozostawiając pismom codziennym rolę donoszenia nowin bieżących, staramy się natomiast z każdej sprawy świeżej wyciągnąć dla czytelników naszych poważną korzyść umysłową. Nie możemy w *Prawdzie* prowadzić szczegółowej kroniki wypadków politycznych, ale pragniemy nakreślić ich obraz w ogólnych rysach. Trzy ostatnie ukończone lub nieukończone wojny: na południu i północy Afryki oraz na półwyspie Bałkańskim ściągnęły uwagę świata ucywilizowanego na trzy ludy: boerów, albańczyków i kumirów. Poznajomić z nimi czytelników naszego pisma jest właśnie naszem zadaniem.

Dla spełnienia go nie uciekamy się do wątpliwej wiarogodności doniesień gazeciarskich, ale, o ile na to literatura europejska pozwala, do dzieł poważnych. Za źródło do poznania pierwszej grupy, boerów, posłuży nam praca A. Trollope'a p. t. *South Africa.*

Dawna niepodległa rzeczpospolita Transvaalu stała się kolonią angielską od r. 1877. Ze wszystkich posiadłości angielskich jestto najmniej dostępna. Jej stolica Pretoria oddalona od morza 400 mil., a niedawno jeszcze lwy i dzikie plemiona gospodarowały na drodze do niej z całą swobodą. Niesława *boerów* [1]), potomków osadników holenderskich, opornych wszelkiemu postępowi, wiodących życie niechlujne i prostacze, jest powszechnie znaną, i Trollope zetrzeć jej nie usiłuje. W chatach z dwu izb złożonych sypiają pomieszani, kobiety z mężczyznami, nie myją się nigdy, w dniu i w nocy noszą też same ubranie, żywią się mięsem dzikich zwierząt, unikają zetknięć sąsiedzkich i nie uprawiają swych pól. Jestto wynik ich życia odosobnionego. Potomkowie europejczyków we wszystkich ziemiach odkrytych i zdobytych przedstawiają tenże sam widok. Istnieje między boerami dziwny zwyczaj wyszukiwania sobie żon. Młodzieniec, oczyściwszy się z brudu i przywdziawszy porządniejsze ubranie, siada na konia i jeździ po kraju szukając sobie żony. Znalazłszy ją, ofiaruje wybranej świecę, której przyjęcie jest znakiem zgody. Pierwsze odwiedziny trwają dopóty, dopóki świeca się nie spali; naturalnie czasem kochankowie dopomagają sobie rozmaitymi sposobami, ażeby się spaliła jak najpóźniej. *Boer* albo *duczman* nienawidzi przedewszystkiem swego najbliższego krewniaka, świeżo przybyłego z Europy holendra, czuje zaś swą niższość wobec anglika.

Przejdźmy jednak do geografii i historyi tego kraju.

Transvaal, jak to nazwa sama wskazuje, położony jest na północ od Vaalu. Z tej strony granica jest jasno wytkniętą, inne jednak punkta, niezbyt wyraźnie określone, bywały nieraz powodem sporu z anglikami. Na zachodzie zulusi roszczą pretensye do ziem, zajętych przez anglików; na północno-wschodzie znowu — portugalczycy, którzy nie okazują zamiarów zaborczych, ale niezbyt chętnie godzą się na kopce, przez Anglię usypane. Ku północy granica Transvaalu nie jest dotychczas ściśle oznaczoną. Zaniedbanie ścisłego wytknięcia punktów granicznych doprowadziło rzeczpospolitę Transvaalu do upadku, z którego skorzystała Anglia i krajem tym zawładnęła. Ziemie, do których rościli pretensye holendrzy, krajowcy uważali za swą własność, a żądania z ich strony były tak nieograniczone, nieokreślone, tak obszerne wreszcie, że dla dogodzenia im, trzebaby kraj opuścić. Sicoweni, wódz krajowców, najbardziej nieprzyjazny dla holendrów, domagał się w ostatnich czasach wydania nawet tego terytoryum, na którem wznosiła się Pretorya, stolica rzeczypospolitej, miejsce pobytu parlamentu.

Traktując z krajowcami w sprawie sporów granicznych trudno uzyskać cośkolwiek za pomocą ustępstw. Trudno też opierać się na podstawach ścisłej sprawiedliwości. Dla uregulowania kresów niezbędną jest siła zbrojna, a taką zdoła wystawić zapewne Anglia. Przy wytknięciu nowych punktów granicznych do kolonii angielskiej wkluczone zostaną posiadłości krajowców na przestrzeni kilkuset mil kwadratowych. O ile w przybliżeniu przynajmniej określić można, ludność kolorowa kolonii wynosi od 25.000 do 80.000 dusz. Zdawaćby się mogło, że krajowcy zadowoleni będą z włączenia ich do liczby poddanych angielskich, nawet gdy im za to każą płacić po 10 szyl. od chaty; w rzeczywistości jednak rzecz ma się inaczej: pragną oni zachować niezależność, na równi z zulusami, którzy są najbliższymi ich sąsiadami. Wynikają z tego powodu niezmierne trudności i zawikłania.

Historya zajęcia Transvaalu podobną jest do historyi okupacyi całej Afryki południowej w ciągu bieżącego wieku. Holendrzy ustępowali zawsze anglikom, ci zaś ostatni albo ich ścigali, albo też pozwalali im uciekać, wyrzekłszy się zamiaru włączenia ich do liczby swych poddanych. Holendrzy ze swej strony, jeżeli nie pałają nienawiścią ku anglikom, to oburzają się na ich sposób postępowania. Pogląd ich na stosunek do swych zwycięzców, dałby się streścić w następujących wyrazach:

„Jesteście bezwątpienia ludźmi dumnymi i nader potężnymi. Nie pragniemy też stawiać wam oporu. Myśmy pierwsi zdobyli, następnie uprawili i ucywilizowali kolonię na Przylądku; ponieważ jednak jest wam ona koniecznie potrzebną, zabierzcie ją i zróbcie z nią, co się wam podoba. Pozwólcie jednak nam odejść, dokąd będziemy chcieli i robić, co się nam podoba. Nie lubicie niewolnictwa; my je lubimy; udajemy się więc do innego kraju, gdzie znajdziemy sobie niewolników. Narażamy się przytem na wiele nieszczęść, a może i zgubę, ale wolimy to wszystko, niż wasze prawa i waszą filantropię."

Kiedy holendrzy wtargnęli po raz pierwszy do kraju, noszącego obecnie nazwę Transvaalu, znajdowali się w drodze do Natalu. Doszły ich wieści, wystawiające urodzajność jego ziemi i starali się przedostać doń z północy, przeprawiwszy się przez rzekę Pomarańczową. Krocząc przez miejscowość, noszącą obecnie nazwę wolnego państwa Orange, napotkali strasznego wroga, imieniem Maculekaca, naczelnika plemienia Matabelów, z którymi zmuszeni byli przebyć ciężką walkę. Wycierpiawszy wiele, zdołali wreszcie wypędzić Maculekaca z zajmowanego przezeń kraju.

Następnie wynikło w pośród nich rozdwojenie; zaczęli toczyć między sobą spory o to, że jedni chcieli pozostać, drudzy zaś udać się na wschód, do ziemi obiecanej Natalu. Wreszcie ostatnia partya zwyciężyła i wszyscy udali się za nią.

W ciągu lat dwunastu wycieczki zaborcze do Transvaalu czynili jedynie holendrzy usposobienia bardziej awanturniczego, pionierowie wolności, którzy woleli raczej zamieszkiwać w bezpośrednim sąsiedztwie dzikich, aniżeli mieć jakiekolwiek stosunki z prawem angielskiem. Ludzi ci nie poddawali się żadnym regułom. Niektórzy z nich osiedlili się na zachodzie i na północy Vaalu, gdzie wznoszą się dzisiaj miasta Potchefstrom i Klerksdorp; inni znowu zamieszkali na południe i na wschód od tej rzeki.

Ci ostatni dowiedzieli się niebawem, iż gubernator Przylądka zamierza przysłać im swych urzędników. Było to dla nich obrazą, której znieść nie mogli. Andrzej Pretorius, najsurowszy i najenergiczniejszy z holendrów, z nienawiści do gubernatora opuścił wówczas właśnie Natal i osiadł w pośród nich. Zorganizował on powstanie przeciwko zwierzchnictwu anglików, nie w celu zażądania zwrotu terytoryum leżącego na północ od Vaalu, ale dla zapewnienia niepodległości holendrom, osiadłym na południe od tej rzeki. Wynikiem ruchu tego była bitwa pod Boon-Plaats. Pobity przez anglików Pretorius zmuszony został przeprawić się na drugą stronę rzeki Vaal.

W kraju, gdzie osiedlił się poprzednio, nie mógł dłużej pozostać. Rząd angielski wyznaczył 2.000 funtów szterlingów w nagrodę temu, kto dostarczy głowę wichrzyciela. Fakt ten uważanym być może za początek zajęcia Transvaalu przez europejczyków.

Ukonstytuowano natychmiast pewien rodzaj rzeczypospolitej, której naczelnikiem obranym został Pretorius. Maculekace i Matabele zostali wygnani, ale inne plemię krajowców, Behuanasy, nie chcieli ustąpić z zajmowanego przez nich terytoryum. Wynikiem ich oporu był szereg walk krwawych, po czem część krajowców została ujarzmioną. Dzieci dzikich, wzięte do niewoli, oddane zostały rolnikom holenderskim; używano ich do uprawy roli i obchodzono się z niemi, jak z niewolnikami.

Taki był stan rzeczy w chwili, kiedy anglicy postanowili przyznać zbiegłym swym poddanym zupełną swobodę działania w nowej ich ojczyźnie po za rzeką Vaal. Po cóż wreszcie było ich ścigać, kiedy udaliby się prawdopodobnie w kierunku Limpopo ku północy, lub może jeszcze dalej? Postanowiono więc w 1852 r. zawrzeć traktat ze zbiegami, w którym pełnomocnicy rządu angielskiego uznali nowo założoną rzeczpospolitą i wraz z Pretoriusem zająć się mieli jej urządzeniem. Dwa paragrafy tego traktatu są szczególnie ciekawe. Jeden z nich znosił niewolnictwo w nowej rzeczypospolitej, warunek łatwy do napisania, o wiele trudniejszy jednak do wykonania; drugi stanowi, iż boerowie nie mogą zawierać sojuszu z krajowcami, zamieszkałymi na północ od rzeki Vaal.

Andrzej Pretorius obranym został niezwłocznie na pierwszego prezydenta uznanego państwa, które przyjęło niebawem nazwę rzeczypospolitej Afryki południowej. W dwa lata później (w lipcu 1853 r.) umarł Pretorius i syn jego obrany został na miejsce ojca. Pretorius był w istocie człowiekiem niezwykłym, a przynajmniej największym wrogiem anglików w pośród holendrów osiadłych w Afryce.

[1]) *Boers (bûrs)* dosłownie chłopi (niem. *Bauer*).

Był on przekonanym, że jako wódz narodu wybranego, a rzuconego dłonią losu pomiędzy dzikich, ma zupełne prawo postępować z nimi, jak z wrogami, i korzystał z prawa silniejszego, aby wytępić żywioł obcy lub ujarzmić go i zużyć jako siłę roboczą.

Po śmierci pierwszego Pretoriusa rzeczpospolita miała wiele chwil ciężkich do zniesienia. Stolica znajdowała się naówczas w Potchefstrom, w pobliżu rzeki Vaal; obszerne zaś terytoryum, leżące na północy, pozbawione było zupełnie niemal jakiegokolwiek zarządu. Koloniści zmuszeni byli toczyć ustawicznie walki z krajowcami, mszczącymi się za wydarcie im ziemi ojczystej. Historya rzeczypospolitej w tej epoce pełną była krwawych ustępów, gdyż biali padali nieraz ofiarą nienawiści dzikich. Położenie zmieniło się nieco dopiero od czasu przeniesienia stolicy z Potchefstrom do Pretoryi, miasta nazwanego tak na cześć założyciela rzeczypospolitej.

W roku 1853, po śmierci Andrzeja Pretoriusa, na prezydenta, jak wspomnieliśmy, obrany został syn jego; lecz w roku 1859 obrano go prezydentem wolnego państwa Orange, na miejsce Bostrofa, który usunął się z tego stanowiska. Pretorius syn powziął był poprzednio jeszcze zamiar połączenia obu państw w jedną rzeczpospolitę Afryki południowej. Myśl, iż będzie można usunąć anglików z Afryki, nie siłą oręża, ale przez rozbudzenie uczuć republikańskich, zaczęła kiełkować podówczas w głowach kilku polityków Transvaalu. Burgers ostatni prezydent zachwycał się tą utopią i wiecznie pracował nad jej ziszczeniem. Myśl sama jest bez zaprzeczenia wielką, bardzo naturalną w holendrze republikaninie, bardzo patryotyczną, jak na holendra osiadłego w Afryce; idee takie jednak usprawiedliwiają się wtedy jedynie, jeżeli się ziszczą; niespełnione — uważane bywają za czcze rojenia, i szkodzą nieraz tym, którzy je głoszą. Ani Pretorius młodszy, ani Burgers nie będą nigdy uważani za dobroczyńców swego kraju, ani za zdolnych mężów stanu, chociaż każdy z nich pragnął stać się Waszyngtonem Afryki południowej.

Volkraad wolnego państwa nie podzielał poglądów prezydenta, który przybył doń z Transwaalu: ten ostatni usunął się też z zajmowanego stanowiska w 1863 r. Wybranym został jednak niebawem na prezydenta rzeczypospolitej północnej i spełniał obowiązki te aż do 1872, kiedy usunął się zupełnie od życia publicznego. Wówczas na jego miejsce obrany został na pięcioletni przeciąg czasu ostatni prezydent, Burgers.

(Dokończenie nastąpi).

LIBERUM VETO.

List niemca przeciw polakom. — Wielki Fritz wszystkiemu winien. — Sprowadzenie niemców do orkiestry polskiej. — Obfitość koncertantów. — Przyszłość p. Noskowskiego. — Chanaan literacki obiecany przez p. Szymanowskiego. — Wątpliwe nadzieje.

Przed kilku dniami odebrałem list — jeśli podpis nie myli — prawdopodobnie od niemca, który pod godłem: „Ein Schlachten war's, nicht eine Schlacht zu nennen“ wypalił *verba veritatis* polakom. Długa ta perora zawiera następujące *verba* główne: polacy, przechwalając siebie, zniesławiają inne narody, a gdy jaki cudzoziemiec osądzi ich surowo, krzyczą w niebogłosy; tak krzyczeli na E. Franzosa za to, że ostrzegał guwernantki, żeby nie szukały chleba w Polsce, a przecież los jednej z nich sprawdził niedawno słuszność tego ostrzeżenia; podobnie wymyślają na niemców, kupujących polskie majątki, chociaż ci podnosząc gospodarstwa, zrujnowane przez polską nieudolność i marnotrawstwo, dźwigają dobrobyt kraju. Jakkolwiek cały ten akt oskarżenia powiedziany mi był na ucho, powtórzyłem go w głównej osnowie, ażeby z jego cichymi i głośnymi wyznawcami porozmawiać publicznie. Przedewszystkiem zachodzi pytanie: dla czego — mówiąc słowami wspomnianego listu — „Polenhass ist unsiegbar,“ t. j. dla czego polacy nienawidzą głównie niemców? Dla czego nie wystraszają z pośród siebie francuzów, włochów, anglików, szwedów, szwajcarów i t. d.? Sam wzgląd mniejszej ilości tych ostatnich nie może tu być rostrzygającym i muszą z nim łączyć się inne. O kawał gruntu, zakupiony przez francuza, polak nawet nie stęknie, a o kawałek, nabyty przez niemca, wzywa pomsty niebios: dla czego? Wszakże w obu wypadkach traci ziemię. Kompania francuska ujmuje w swe ręce eksploatacyę jakiejś kopalni lub tramwajów — w polskiej prasie cicho; niechże niemiec założy jedne krosna tkackie, zaraz go ona podkurzy; czemu? Widocznie nie w fakcie napływu, ale w naturze składających go żywiołów tkwi przyczyna tej szczególnej nienawiści. I jakaż to przyczyna? Po prostu taka: za każdym niemcem, przybywającym do nas, wchodzi cień Fryderyka W-go. Ten upiór nas straszy, on w nas budzi zgrozę i odrazę. Bez tego cienia każdy pojedyńczy Müller i Schultze byliby ludźmi znośnymi, nawet sympatycznymi; on przeszkadza zgodzie, harmonii, braterstwu. Niech niemcy usuną ze swej historyi Wielkiego Fritza, albo niech nas nauczą go nie widzieć, a nie będziemy im wydzierali z ust kęsa naszego chleba lub pragnęli, ażeby im się zamienił w truciznę. Francuz, włoch, anglik — są dla nas przyjemni, bo nie wskrzeszają w pamięci naszej żadnego Fritza.

Czytając poezye Goethego — mówił raz do mnie pewien znajomy — pragnę ich karty całować; ale gdy sobie przypomnę, że są niemieckie, czuję chęć w nie napluć.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

Inny znowu najpoważniej dowodził:

Oni mieli tylko znakomitych rabusiów. Wszyscy ich wielcy myśliciele, poeci i artyści byli albo słowianami, albo żydami, albo należeli do innych szczepów; Teutonia nie zrodziła ani jednego geniusza.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

A iluż jest między nami takich, którzy się modlą: Panie Boże miły, jeżeli nas mają zjeść, niechże przynajmniej nie zjedzą niemcy.

Kto temu winien? Wielki Fritz.

A zatem: kto chce w każdym wypadku pojąć nienawiść polaków do niemców, niech do wszystkich względów obecnych doda przeszłe zasługi Wielkiego Fritza.

Nienawiść ta nie przeszkadza nam naturalnie używać w każdem przedsiewzięciu pomocy zachodnich sąsiadów. Ot np. p. Zyg. Noskowski postanowił utworzyć orkiestrę z rodzinnych sił złożoną. W tym celu sprowadził sobie.... niemców, dopełnił ich siłami miejscowemi i ma orkiestrę „polską.“ A dla czego sprowadził? Czy może jest także „kulturträgerem?“ czy nie posiadamy dostatecznie uzdolnionych muzyków? Owszem posiadamy, ale samych pierwszorzędnych solistów, samych koncertantów, którzy wstydziliby się grać w orkiestrze Doliny Szwajcarskiej. Niemiec rodzi się do roli podrzędnej, nie lekceważy swego udziału w pracy zbiorowej, jednego dnia może grać w orkiestrze, a drugiego dać własny koncert. U nas... inaczej. Zaledwie młody artysta się wypierzy, natychmiast zostaje arystokratą sztuki, jedzie do Moskwy, Lipska, albo nawet do Ciechocinka i tam zdumiewa świat swoją genialnością, z której Lipsk sobie żartuje, ale zato Ciechocinek bardzo się cieszy. Ponieważ zaś prasa namiętnie wyszrubowywa w górę koncertantów, ponieważ głosy zakątkowych dzienniczków zagranicznych o naszych artystach są starannie powtarzane, należałby więc do istotnych cudów świata ten, ktoby w tych kadzidłach nie uwierzył co najmniej, że jest szczurem na ołtarzu sztuki. Skutkiem tego posiadamy bardzo wielu i bardzo utalentowanych koncertantów, ale nie mamy artystów gotowych, nadewszystko gotowych do złożenia porządnej orkiestry. Zaręczam, że żaden z naszych Maierów, będących chlubą towarzystwa Bilsego, nie poniżyłby się do służenia w orkiestrze i wolałby raczej olśniewać samodzielnie Skierniewice lub Maryampol, niż trzymać pierwsze skrzypce na estradzie Doliny Szwajcarskiej i słuchać pałeczki p. Noskowskiego. Polak nie obdziera skór z koni, nie jeździ berlinką, więc dla czegóż ma grywać w orkiestrze, kiedy może pojechać do Drezna, popisać się tam śród trzydziestu osób a na świadectwo swego tryumfu przesłać do warszawskich dzienników pochwałę *Dresdener Nachrichten*. Poślednie czynności niech wykonywają niemcy, naturalnie dopóty, dopóki nam nie przyjdzie ochota do owych niskich zajęć i poskarżenia się na wyparcie żywiołów miejscowych. Dla tego też przepowiadam p. Noskowskiemu następującą przyszłość: za lat kilka p. J. Jeleński wyda nową edycyę rozprawy *Żydzi, niemcy i my* i uzupełni ją przykładem orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej, dowodzącym rozgospodarowania się niemców u nas. Naturalnie p. Noskowski otrzyma nazwę kulturträgera i dla tego radzę mu dziś zaopatrzyć się na ten wypadek w pokwitowania z wszelkich pretensyj od miejscowych artystów. Tu winienem autorowi wzmiankowanego poprzednio listu wypłacić należną słuszność: tak panie, Wielki Fritz przeszkadza nam kochać niemców, ale nie przeszkadza wyręczać się nimi.

W zeszłym tygodniu uczciliśmy na tem miejscu świeżą nominacyę ambasadora literackiego w Petersburgu, który ma pilnować praw własności literackiej francuzów. Otóż p. W. Szymanowski sprostował w *Kuryerze Warszawskim*, że p. Michelet nie jest posłem międzynarodowego stowarzyszenia literackiego, do którego on należy, lecz odrębnego towarzystwa literatów paryskich, które międzynarodowego charakteru nie posiada. Jednocześnie wszakże p. Sz. spróbował dowieść nam korzyści z zawarcia konwencyi co do praw autorskich. Korzyści te dla nas byłyby następujące: 1) niepowołani straciliby nędzny zarobek, ale nie bylibyśmy zalani potopem nędznych tłomaczeń; 2) liche przekłady, wypierające dotąd niskością ceny utwory oryginalne, musiałyby zniknąć i ustąpić miejsca pracom oryginalnym, które wzrosłyby w liczbie i cenie; 3) najwięcej zyskaliby polscy autorowie dramatyczni, których dziś zubożają obcy. P. Sz. obiecuje takie złote góry, że niemal uśmiecha im się możność wystawienia sobie za dramaty i komedye pięknych willi bodaj na Koszykach i Pelcowiźnie. Wszystko to byłoby cudowne, gdyby... tak było. Ale p. Sz. zapomniał najprzód, że wytwór pewnych płodów literackich zależy nietylko od dobrych chęci, odpowiednich uzdolnień i zbytu, lecz także od materyału i warunków pracy. Mimo zręcznych robotników, szerokiego zapotrzebowania i cel ochronnych, nie mamy dobrej i taniej porcelany, bo nie mamy potrzebnej gliny. Podobnie nie możemy zdobyć się na wielkie dzieła naukowe, bo nie posiadamy znakomitych uniwersytetów, bibliotek, pracowni i innych środków pomocniczych. Jeżeli więc będziemy musieli opłacać przekłady książek obcych, nasze własne piśmiennictwo się nie wzmoże a oświata spadnie. Zamiast talerzy porcelanowych, zaczniemy używać misek glinianych. P. Sz. odpowie na to, że owa opłata byłaby albo bardzo mała, albo żadna. W czem jednak rękojmia? Kto zaręczy, że wydawca zagraniczny, przyzwyczajony do innych stosunków, nie zażąda od nas za przekład wynagrodzenia, przecho-

dzącego nasze siły i nie zatamuje naszemu ogółowi przystępu do poznania jakiejś pożytecznej książki? Żaden kodeks wymagań jego w swoich normę nie ujmie, a swoboda interesu, jak wiemy, rozciąga się bardzo łatwo. Co do swojskich utworów dramatycznych, opłacanych u nas istotnie żebraczo, to dla podniesienia ich ceny nie potrzeba konwencyi; wystarczy zniesienie monopolu teatralnego, umiejętna i dbała o dobro swej literatury reżyserya a wreszcie dopuszczenie autorów do udziału w zyskach. Przypuśćmy, żeśmy już powstrzymali napływ tłomaczeń, że pisarze polscy dostarczają teatrowi sztuk znakomitych — co to pomoże, jeśli on — jedyny w Warszawie — powie, że nie da ani grosza więcej, niż 50 rs. za akt? Z tych powodów nadzieje p. Sz. wydają nam się, jak wszystkie nadzieje protekcyonistów, bardzo zawodnemi.

Poseł Prawdy.

MUZYKA.

Po karnawale. — Doba postna. — Poranek muzyczny na korzyść studentów puławskich i koncert na dochód uczniów gimnazyum. — Koncerty dyrekcyi teatrów. — Koncert historyczny. Towarz. Muzyczn. — Orkiestra Doliny Szwajcarskiej. —Koncert dla kurpiów.

Karnawał, pomimo swej niepomiernej długości, dosyć szybko przeminął dla bawiących się warszawian. Sztuka muzyczna miała w tym okresie znaczny udział, zbyt wprawdzie jednostronny i za mało samoistny, byśmy o nim potrzebowali tu wspominać. Rytmika mazurów, walców, kontredansów i t. p. popisów domowej choreografii, rozlegających się nieraz do pierwszych promieni jutrzenki — wszechwładnie zapanowała nad Warszawą. Siedem tygodni wielkiego postu po biesiadach karnawału miało być czasem poważnych rozmyślań i zastanowienia. Rzeczywiście to, co nam niejeden *sezon koncertowo-postny* ofiarował, śmiało i profan i specyalista mógł porównać z produkcyą biblijnych siedmiu lat nieurodzajnych. Szafki afiszowe zwykle w tej porze barwiły się tęczowo—koncertów, poranków muzycznych bez liku, korzyści zaś z tego dla... sztuki, jeżeli w podobnych okolicznościach o sztuce mówić można, prawie żadnej. Ten występuje z koncertem dla tego tylko, że chce się szanownej „publice" przypomnieć, a nie ma innego niestety sposobu ujawnienia swego artystycznego *bytu*. Ów zaś ma... życzliwych przyjaciół, którzy namawiają do koncertowania, aby wykazać swe dobre chęci dla artysty. W ten lub podobny sposób mniej więcej powstaje myśl muzycznego zużycia wieczorów postu. Koncertów, któreby ujawniały rzeczywistą artystyczną pracę, twórczość, postęp, bardzo mało. Filantropia zaś przy tem nie wypuszcza ze swych szponów wszelkich czynników artystycznych, w szczególności zaś muzycznych. Aby biedaka nakarmić, przyodziać, dać mu schronienie, trochę wiedzy — nie obędzie się bez muzyki, deklamacyi. Doprawdy jesteśmy dobroczynni — ale zbyt *głośno* i ostentacyjnie dobroczynni. Czyżby w tym kierunku nie należało choć trochę zreformować naszą zbyt samolubną dobroć?

Straszne wypadki przerwały sezon koncertowy w samym początku. Dopiero po Wielkiejnocy sezon ten odżył na nowo, energicznie korzystając z kilku tygodni mniej ciepłych. Z koncertów dobroczynnych mieliśmy poranek muzyczno-deklamacyjny na dochód studentów puławskich, na którym warszawianie zyskali sposobność zapoznania się z poematem symfonicznym *Festklänge* Liszta; oraz koncert dla niezamożnych uczniów gimnazyalnych, z bardzo pokaźnym rezultatem materyalnym.

Koncerty dyrekcyi teatrów pomimo rozmaitych ustępstw dla publiczności (połączenie koncertu z widowiskiem scenicznem, przeniesienie auditorium do sali ratuszowej) nie cieszyły się powodzeniem. Panowie: Wieniawski, Viardôt i in. popisywali się przed bardzo nieliczną garstką wytrwałych lubowników.

Z występów wirtuozowych zanotować musimy koncerty pp. Schlötzera i Lewity. Pan Schlötzer przedstawił się jako zbyt *materyalistyczny* wirtuoz, zapominający o duchowej stronie sztuki; p. Lewita zaś umiał dosyć harmonijnie dwa te czynniki połączyć.

Dla sztuki naszej jednak najważniejszemi były: praca około koncertu historycznego muzyki polskiej — pod dyrekcyą p. Adama Münchejmera i działalność cicha, lecz żywotna p. Zygmunta Noskowskiego jako dyrektora Towarzystwa muzycznego. Dochód z koncertu historycznego przeznaczony był na wydawnictwo prac etnograficznych O. Kolberga, dotyczących ludu naszego. Publiczność nasza tłumnem zebraniem się na ten koncert dowiodła z jednej strony współczucia dla skromnego a wytrwałego pracownika, a z drugiej zainteresowania się naszą przeszłością i przyszłością muzyczną. Przeszłość ta, rzeczywiście bardzo świetna, wzbudza żal, że wypadki dziejowe niekorzystnie oddziałały na rozwój raszego artyzmu. Wiek XVI imionami Wacława Szamotulskiego i Mikołaja Gomółki pozwala sztukę naszą przeciwstawić europejskiej bez rumieńca patryotycznej zarozumiałości. Nawet wiek XVIII, w dziełach ks. Gorczyckiego, dał dowody istotnej, nie zaś tylko formalistycznej żywotności, o którą zawsze jest posądzany w utworach sztuki. Początki muzyki dramatycznej polskiej (koniec XVIII i początek XIX stulecia) dobitnie wykazują podstawy swe w pieśni ludowej. Utwory te, w swoim czasie śpiewane w całej ojczyźnie naszej, obecnie mają wartość tylko historyczną.

Powtórzenia tego koncertu należy się nietylko spodziewać, ale nawet domagać wobec entuzyazmu słuchaczów.

Teraz zaś słów parę o Towarzystwie Muzycznem. Instytucya ta widocznie wzmaga się na swych siłach. Szczególniej występy chóralne świetnie świadczą o zdolnościach nietylko artystycznych, ale i pedagogicznych p. Noskowskiego. Publiczność przyjmująca dawniej dosyć humorystycznie zbiorowe popisy, obecnie słucha ich z przyjemnością, żąda nawet powtarzania niektórych utworów. Oby to było początkiem zamiłowania muzyki zbiorowej wokalnej, w którą tyle prawdziwego natchnienia złożył geniusz mistrzów. W zamiłowaniu tem dopiero widzieć byśmy mogli zarodek prawdziwego odrodzenia naszej sztuki ojczystej.

Pan Noskowski pracuje energicznie i na innem polu. Udało mu się stworzyć orkiestrę symfoniczną, złożoną, o ile to było możebnem, z sił krajowych. Orkiestra ta koncertować zaczęła w d. 8 b. m. w Dolinie Szwajcarskiej. Pierwsze koncerta każą pochlebnie wróżyć o jej powodzeniu. Dyrektor zamierza w programach szczególnie uwzględnić żywioł swojski. Spodziewamy się, że to stosować się będzie do kompozytorów żyjących, których karyera twórcza jeszcze nie jest ukończoną; bo wyznać musimy, że do *swojskości symfonicznej* niezbyt ubiegłych czasów zbytniego upodobania czuć nie możemy.

Kończymy nasze sprawozdanie wzmianką o koncercie na głodnych kurpiów, dla których d. 9 b. m. pod przewodnictwem hr. Al. Potockiej artyści nasi wymuzykowali i wydeklamowali pokaźną sumkę!

S. C.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 12 maja.

Książę Aleksander bulgarski, którego kosztem bawiono się potrosze w Europie, stał się naraz niespodzianie bohaterem chwili, sprawiwszy rządzonemu przez siebie krajowi interesujące przesilenie konstytucyjne, z przymieszką czegoś w rodzaju zamachu stanu. Już od tygodnia przeszło zaczęły się w dziennikach pojawiać pogłoski, że książe zamierza usunąć ministeryum i zawiesić konstytucyę, aby tą drogą wprowadzić pożądany przezeń porządek rzeczy. Nie wierzono wieściom, nawet niewiele na nie zwracano uwagi, aż naraz w dniu 10 b. m. telegraf rozniósł po Europie wiadomość o wydaniu proklamacyi księcia, która zapowiedziała poprzednie prawie w zupełności potwierdziła. Książe Aleksander oświadcza w manifeście do bulgarów, iż nadzieje nadania krajowi prawidłowego rozwoju na gruncie istniejącej konstytucyi zawiodły; że kraj jest zdeorganizowany na wewnątrz a zdyskredytowany na zewnątrz; że stan taki dłużej trwać nie może, a przeto książe zwołuje wielkie zgromadzenie narodowe, któremu przedstawi swój plan reformy obecnych stosunków, jeśli zaś konstytuanta takowego nie przyjmie, to książe złoży koronę i opuści Bulgaryę. Tymczasem udziela dymisyę gabinetowi Karawełowa i poleca ministrowi wojny utworzenie prowizorycznego gabinetu. Wszystko to, samo przez się wysoce sensacyjne, nabiera jednak właściwego wyrazu i koloru dopiero po rozważeniu okoliczności towarzyszących przesileniu. Dwie w tym względzie istnieją wersye: wedle jednej chodzi rzeczywiście tylko o utrwalenie wewnętrznego ładu za pomocą poprawek w konstytucyi, poruczenie zaś rządów tymczasowych ministrowi wojny, którym jest rosyjski generał, p. Ehrnroth świadczyćby miało o utrzymaniu w dalszym ciągu węzła łączącego Bulgaryę z Rosyą; druga wersya, mająca więcej zewnętrznych cech prawdopodobieństwa, wskazuje wpływ austryacki jako przyczynę przewrotu. Manifest księcia Aleksandra, który chwalą dzienniki wiedeńskie a gani prasa rosyjska, miał być ułożonym i nawet wydrukowanym w Wiedniu, podczas ostatniej bytności tamże księcia bulgarskingo, który, jak to utrzymują inspirowane dzienniki, dawną taktykę zimnej grzeczności względem Astryi zmienił na objawy gorącej życzliwości i sympatyi. Pogłoski sięgają tak daleko, że mowa jest o zarządzie Bulgaryą zapomocą międzynarodowej komisyi, w której zasiadałoby dwóch *generałów* austryackich. Wedle słów jednej z depesz petersburskich, ludność Bulgaryi obawia się najścia austryaków i całą nadzieję obrony w potrzebie pokłada w Rosyi i jej Cesarzu. Jest w tem bezwątpienia wiele przesady, ale zdaje się być rzeczą niewątpliwą, iż polityka austryacka, korzystając ze stosunków, zaprzątających na razie Rosyę, wciska się przyspieszonym krokiem w półwysep Bałkański, starając się jak najdalej posunąć tam tak zwaną „sferę wpływu" swojego. Działanie to prowadzone z subtelną ostrożnością musiało zajść dość daleko, skoro towarzyszą mu tak sensacyjne objawy; można przeto być przygotowanym na rychłe rozwinięcie poważnych zawikłań w Bałkanach.

W Tunisie francuzi prawie już ukończyli kampanię, w której jedynym seryo przeciwnikiem był tylko — deszcz. Najważniejsze pozycye terytoryum krumirów znajdują się już w ręku wojsk francuskich, które stoją o godzinę drogi od stolicy Tunisu. Sprawa ogranicza się więc teraz tylko na akcyi dyplomatycznej, która swoją drogą może być przewlekłą, gdyby państwa eu-

ropejskie chciały wziąć na uwagę protest Porty Otomańskiej, na co jednak nie zanosi się wcale. Groźnym punktem na widowni kwestyi tunetańskiej stało się starcie turecko-francuskie. Porta zamierzyła podobno wysłać eskadrę na wody tunetańskie a nawet wojska do Tripolis, ambasador więc Francyi oświadczył jej kategorycznie, że wysyłka floty do Tunisu uznanąby była przez Francyę za *casus belli*. Stąd nowa nota okólnikowa turecka jest zapowiedzianą.

Polityka wewnętrzna państw europejskich pogrążona jest w chwilowej ciszy. Zaledwie pomniejsze luźne fakta domagają się zaznaczenia w politycznej kronice. Do takich należą: w Anglii wybór Salisburego na przywódcę torysów po Beaconsfieldzie i uchwalenie temu ostatniemu pomnika przez obie Izby parlamentu; w Austryi zaślubiny następcy tronu, arcyksięcia Rudolfa z księżniczką Stefanią belgijską, które się odbyły w Wiedniu d. 10 b. m.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Stowarzyszenia. Na posiedzeniu z d. 2. b. m. wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Krakowie postawiono wniosek, aby ze względu na to, iż konkurs dramatyczny nie odniósł żadnego rezultatu, gdyż ani jedna ze sztuk nadesłanych nagrodzoną nie została, obrócić fundusz niezużytkowany na nagrodę konkursową za napisanie podręcznika historycznego dla młodzieży. Ponieważ procenty od funduszów konkursowych, z fundacyi Bredkrajcza, mogą być obracane na nagrody konkursowe za prace historyczne, przeto zarząd Towarzystwa, zgadzając się w zasadzie na myśl podniesioną w przytoczonym powyżej wniosku, postanowił zająć się urzeczywistnieniem jej w jak najkrótszym czasie.

— Na posiedzeniu wydziału matematycznego Akademii umiejętności w Krakowie, odbytem w d. 20 z. m., sekretarz wydziału prof. Kuczyński przedstawił rozprawę Aug. Witkowskiego p. t. *O wpływie odkształcenia na przewodnictwo elektryczne;* prof. dr. Karliński zdał sprawę z pracy d-ra Ludwika Birkenmajera p. t. *O kinetycznej równowadze elipsoidy nieobrotowej pod wpływem grawitacyi i siły odśrodkowej.* Następnie dr. Wierzejski wyłożył treść swej rozprawy: *O przeobrażeniu muchy Liponocera brevirostris Löw.* Dalej dr. Wierzbicki zapoznał obecnych z treścią rozwawy swej p. t. *Ozon atmosferyczny i roczny ruch jego według dwudziesto-pięcioletnich spostrzeżeń obliczony.* W końcu prof. dr. Janczewski wyłożył treść swej rozprawy p. t. *O korzeniu jako organie przywajania.* W dalszym ciągu posiedzenia wydział postanowił, aby z powodu że na ogłoszne pod d. 16 grudnia 1878 r. zadanie konkursowe z fundacyi Kopernika żadna praca nadesłaną nie została, termin zaś nadsyłania rozpraw z dniem 15 stycznia 1881 r. upłynął, ponowić pierwotne zadanie: *Obliczyć tablice biegu planety Juno* i termin przedłużyć po dzień 1 lutego 1883 roku.

Muzea polskie. W Krakowie w d. 28 z. m. pod przewodnictwem prezydenta miasta, d-ra Weigla, odbyło się zebranie komitetu muzeum narodowego. Obradowano nad projektem statutu, opracowanym przez podkomitet. Muzeum posiada obecnie 48 dzieł sztuki; z wyjątkiem jednego są to prace polskich artystów.

— Muzeum przemysłowe we Lwowie według sprawozdania za lata 1879 i 1880 miało 8,538 numerów przedmiotów w ogólnej wartości 45,266 zlr. 53 c. Z tego przedmioty wystawowe na dziewięć grup podzielone wynoszą numerów 6,023, ocenione na 28,818 zlr. 5 c.; biblioteka łącznie z rycinami, fotografiami i malowidłami olejnemi numerów 1,858, oceniona na 10,834 zlr. 93 c.; monety, kamee i pieczęcie numerów 491, ocenione na 402 zlr. 72 c.; ruchomości muzealne numerów 166, ocenione na 5,210 zlr. 85 c. Nadmienić przytem należy iż w niektórych numerach inwentarza znajduje się po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk okazów, stanowiących jedną kolekcyę, lub pewien przetwór fabryczny, co uwzględniwszy, ogólna cyfra przedmiotów muzealnych wyniesie około 10,000 sztuk.

Przy muzeum przemysłowem istnieje szkoła rysunków i modelowania, do której w ciągu dwu lat ostatnich uczęszczało uczniów i uczennic ogółem 319 osób.

Teatr. Przedstawiona niedawno na scenie Małego Teatru pięcioaktowa farsa pani Samolińskiej *Trzy flory*, zadaje kłam znanemu przysłowiu o ukręceniu bicza z piasku. Z małej pomyłki pana radcy, który pod wpływem spirytualnego zawrotu oświadczył się przez pomyłkę nie tej pannie Florze, której miał zamiar się oświadczyć, ale innej podobnej do jego bogdanki mieniem i toaletą, wynika mnóstwo zabawnych zawikłań, pomyłek i awanturek, a cała sztuka jest niczem innem jak tylko prawdziwem *tour de force* sztuki farsowej, w której bohaterowie przeskoczywszy wielkie przeszkody, stają w końcu u zwykłej małżeńskiej mety. Sztuka ta odpowiada doskonale wszystkim warunkom farsy, biegnie żywo, bawi, śmieszy niekiedy do rozpuku, posiada czeredę postaci kreślonych w zamaszystych karykaturalnych konturach i parę bardzo zabawnych konceptów. Grano ją w ogóle żwawo i dzielnie. Pani Borkowska wyróżniła się z grona wykonawców bardzo typowem odtworzeniem flegmatycznej mamuni, okazując talent prawdziwy do ról charakterystycznych. Wesołość i humor panny Czaki i Micińskiej, panów Galasiewicza, Stromfelda, Grubińskiego i Sikorskiego odpowiadały bardzo dobrze charakterowi tej udatnej farsy.

Na scenie Teatru Rozmaitości odegrano komedyę Blizińskiego p. t. *Mośkowe swaty*, przerobioną z dawniejszej *Chleb ludzi bodzie.* Mośko swata golemu paniczowi niby bogatą, a jak się okazuje biedną córkę dorobkiewicza, którą kocha skromny oficyalista. Operacya jednak nie udaje się i otwiera kochankom swobodną drogę do ołtarza. Komedya ta, mimo żwawości i gwaru, niższą jest od innych utworów utalentowanego pisarza. Aktorskie w niej laury zbierają głównie pp. Ostrowski i Waliszewski.

Na tejże scenie wystawiono dramat jednoaktowy naszego redaktora p. t. *Helvia*, osnuty na motywie chwilowego rozpłomienienia się młodej patrycyuszki do Cezara, który ją wygnaniem brata i narzeczonego z tej miłości leczy. Musimy pozbawić się prawa sądu o tej sztuce, pozwolimy sobie tylko zaznaczyć, że wykonanie jej było znakomitym popisem sił aktorskich. Panna Deryng i pani Rakiewicz, pp. Kotarbiński i Prażmowski, a nawet pani Nowakowska w roli niewolnicy, zasłużyli sobie na rzęsisty oklask publiczności i wdzięczność autora. Prasa wyróżniła szczególnem uznaniem grę p. Kotarbińskiego, bo tryumf panny Deryng był w łańcuchu jej powodzeń ogniwem naturalnem.

— W *Comedie Française* wystawiono przed kilku dniami nową komedyę w trzech aktach Edwarda Pailleronа, p t. *Le monde ou l'on s'ennuie.*

— Celem zasilenia funduszu na wydawnictwo jubileuszowe dzieł Jana Kochanowskiego w jesieni r. b. będzie urządzone przedstawienie sceniczne, obejmujące niejako trzywiekowe dzieje teatru polskiego, począwszy od XVI stulecia.

Widowisko to składać się będzie: z tragedyi samego Kochanowskiego *Odprawa posłów greckich* (wiek XVI), przy zachowaniu wszelkich cech zewnętrznych teatru starożytnego; z komedyi Piotra Baryki *Z chłopa król* (wiek XVII) i z komedyi Franciszka Zabłockiego *Żółta szlafmyca* (wiek XVIII).

Przedstawienie *Odprawy* poprzedzi uwertura w stylu klasycznym, umyślnie na ten cel przez jednego z najzdolniejszych kompozytorów naszych napisana, tudzież obraz z żywych osób *Jan Kochanowski z Urszulką w Czarnym lesie.* Słowa chórów mają być również pod muzykę podłożone. Na zakończenie zaś wypowiedziany będzie epilog wierszem, w którym mają być streszczone działalność i stanowisko Kochanowskiego w życiu i literaturze, poczem nastąpi odsłonięcie popiersia poety, we właściwem oświetleniu.

Wyjaśnienie. Niedawno na podstawie *Dniew. Warsz.* pomieściliśmy artykuł o „Ulgach dla zesłańców.“ *Gazeta Polska* daje następujące wyjaśnienie tej sprawy:

„Przedewszystkiem wiedzieć należy, że wygnańcy, za sprawę roku 1863 zesłani, dzielili się na dwie zupełnie odrębne grupy, do pierwszej należeli szlachta i włościanie gubernii litewskich, którzy w całym swym składzie familijnym, z żonami, dziećmi i krewniakami, przesiedleni zostali, jedni do Rosyi, inni na Syberyę. Tam dano im grunta, kazano je uprawiać, zabudować i zastrzeżono, że nigdzie z miejsc tych ruszać się nie będą mieli prawa. W wyrokach i w listach zesłańców nazwani zostali wodworeńcy, co znaczy stale osiedleni; nazwisko to w zbiorze praw jest nieznane i nigdy do zesłańców stosowane nie było.

Do drugiej kategoryi wygnańców politycznych należeli polacy, zesłani na Syberyę za ostatnie wypadki ze skutkami kary wyraźnie przez prawo określonemi. Z samym upływem czasu stosownie do brzmienia artykułów, przechodzili z robót na osiedlenie, a następnie zaliczani zostali do kategoryi chłopów państwowych. Najwyższe manifesta dość licznie wydane, czas owych zmian znacznie skróciły, już w roku 1818 prawie wszyscy zesłani do robót przeniesieni zostali na osiedlenie; wkrótce potem, osiedleńcy zaliczeni byli do kategoryi włościan państwowych. Następny jeszcze manifest wrócił prawie całej masie wygnańców prawa stanu, pozwolił wszystkim zapisanym już do kategoryi włościan, przenieść się do jednej z dziesięciu wskazanych gubernii rosyjskich; manifest z roku 1874 pozwolił osiadłym w Rosyi od lat dwóch wolnego ruchu po całem Cesarstwie i Królestwie Polskiem, z wyjątkiem gubernii południowo-zachodnich i stołecznych. Gdyby tedy zesłani mieli chęć i możność korzystania z manifestów, prawie wszyscy byliby już w Królestwie; szczupły wyjątek stanowiliby tylko ci, którzy przysłani byli na Sybir bardzo późno, lub też za nowe przewinienie w Syberyi byli sądzeni.

Do tej to głównej grupy wygnańców, ulgi, o których donosi *Dn. Warsz.* stosowane być nie mogą, bo grupa ta posiada już daleko szersze prawa aniżeli wzmiankowane rozporządzenie przyznaje. W pomienionym artykule *Dniewnika* wyraźnie i kilkakrotnie powtórzono, że ulgi dają się *wodworeńcom*, to jest owym przesiedlonym z Litwy włościanom i szlachcie zagonowej, o których żaden z cytowanych manifestów nigdy nawet nie wspomniał.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Kard. w Żmerynce. Obserwarye pańskie są niedokładne, gdyż pierwszą dopiero reklamacyę od Pana odebraliśmy. *Historyę Filozofii* zaś wysłano, dziś pierwsze zeszyty wysyłamy ponownie wraz z nr. 18, który również gdzieś przepadł.

P. W. S. w Warszawie. I po liście pańskim, jak przed nim, życzymy literaturze naszej serdecznie, ażeby kiedykolwiek miała takie „glupstwa“ własne.

PP. Lub. w Zawierciu, Klop. w Charkowie i innym, którzy źle zrozumieli nasze ogłoszenie donosimy, że sześć arkuszy pracy Pypina jako bezpłatny dodatek *za kwartał pierwszy rozeslaliśmy*, drugie zaś sześć *za kwartał drugi roześlemy dopiero* w końcu tego lub na początku przyszłego miesiąca.

Panią Maryę Olszańską, która nam nadesłała do zamieszczenia inserat w sprawie familijnej wraz ze 100 rs. i którą uwiadomiliśmy listownie, że on w tej formie drukowanym być nie może — prosimy o objaśnienie, co mamy zrobić z pieniędzmi.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Мая 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.